



JEAN EVANS

NIE ODRZUCAJ MOJEJ MIŁOŚCI



Tytuł oryginału: Take a Chance on Love

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Zaczynam poważnie myśleć, że jestem za stary na takie rzeczy. - Doktor David Stewart ze znużeniem rzucił teczkę i płaszcz na krzesło. - Mm, jak ładnie pachnie.

- Zapiékanka. Zrobiłam ją wczoraj wieczorem, teraz grzeje się w piekarniku. - Kate Stewart nalala ojcu kawy i spojrzala na niego z uśmiechem. Wiedziała, że ojciec bardzo kocha swą pracę, mimo iż odgraża się, że przejdzie na emeryturę. Praktyka w Derbyshire była całym jego życiem, zwłaszcza od czasu, kiedy pięć lat temu zmarła jej matka. - Proszę, wypij kawę, rozgrzeje cię. Widzę, że miałaś ciężki dzień.

Strząsnął parę kropli deszczu z włosów i zatarł ręce.

- Wydaje mi się, że ta okropna epidemia grypy nigdy się nie skończy. Większość pacjentów czuje się lepiej po zażyciu paru aspiryn i kilku dniach leżenia, ale martwię się o starszych. Są mało odporni.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziała Kate. Spróbowała jarzyn i sięgnęła po talerze. - W zeszłym tygodniu przyjęliśmy do szpitala kilka osób z zapaleniem płuc. Jeżeli epidemia będzie rozwijać się w takim tempie, wkrótce zacznie brakować nam łóżek. Ale jeszcze kilka dni i przestanę się tym przejmować... - Uśmiechnęła się z przymusem. - Po takim dniu jak dzisiejszy trudno dojść do siebie.

- Co się stało?

Postawiła naczynie z zapiékanką na stole.

- Przyjeliśmy dwuletniego chłopca z guzem Wilmsa.

David Stewart westchnął.

- Biedactwo.

- Tak. - Kate zmarszczyła brwi. - Żal mi jego rodziców. Przeżyli ciężkie chwile od czasu, kiedy kilka tygodni temu zauważyli chorobę. Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko.

- Jak on się czuje?

- Teraz całkiem dobrze. Dzisiaj go operowano. Wiesz, wstydę się przyznać, ale był to pierwszy guz Wilmsa, jaki widziałam.

- To naprawdę nic dziwnego. Na szczęście, dzięki Bogu, są one bardzo rzadkie. Teraz, po usunięciu nerki, rokowania są bardzo dobre.

Kate pokiwała głową, odgarniając kosmyk włosów za ucho.

- Byłam zdumiona, kiedy zobaczyłam, jaki wielki jest nowotwór. Dobrze, że był całkowicie otorbiony, więc dał się usunąć w całości. Poza tym, na szczęście, żaden z głównych organów nie został zaatakowany.

- To musiało ucieszyć jego rodziców.

- Szaleli z radości. Oczywiście, jeszcze niejedno może się wydarzyć. Czekamy na wynik biopsji, ale... - uśmiechnęła się szeroko - chyba wyjadę z dobrą wiadomością.

Nakładając na talerz ziemniaki, David Stewart przyglądał się córce z uczuciem dumy, zauważył jednak wyraźne cienie pod jej oczami.

- Będzie ci tego brakowało, prawda?

- Chyba tak.

Była zadowolona, że zajęta nakładaniem zapiekanki, może uniknąć jego spojrzenia i również tematu wyjazdu. W ciągu ostatnich miesięcy rozmawiali o tym wielokrotnie i dokładnie wiedziała, jak ta rozmowa się skończy.

- Sądzę, że nie jest to takie dziwne - dodała. - Ostatecznie odbyłam staż w szpitalu St. Maud's. Czasami czuję się, jakbym pracowała tam od zawsze. Z pewnością mam tu wielu przyjaciół.

- Jej twarz sposepniała. - Będę tęsknić do nich, ale to nie znaczy, że nie wykorzystam nowej szansy.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego tą szansą musi być Afryka - zaprotestował ojciec. - Zdaję sobie sprawę, że między tobą i Carterem się nie ułożyło. Jestem oburzony, że miał czelność zostać w szpitalu. - Podniósł na nią wzrok. - Wiesz, że znam wielu ludzi na różnych stanowiskach. Jeśli chcesz, mógłbym poprosić, żeby go usunąć. Jego dziewczynę także.

Przestali się uśmiechać. Kate odsunęła talerz, czując, że nie ma ochoty jeść. Unikała wzroku ojca, żeby nie zauważył, jak bardzo drażliwy temat poruszył.

- To już za nami, tato. Jeremy ma prawo zostać w Bedensfield. Wiem, że go nie lubisz, ale jest doskonałym lekarzem i St. Maud's ma szczęście, że tam pracuje. Dlaczego miałby się wyprowadzić, rzucić wszystko tylko dlatego... - westchnęła - tylko dlatego, że zakochał się w kimś innym? To z całą pewnością nie jest wina Anny. Znam ją i lubię. To znakomita lekarka. Poza tym nie jest tak, jak myślisz. W każdym razie Jeremy nie wpłynął na moją decyzję.

- Typowe! - David Stewart spojrział na nią ze złością. - Chciałbym wiedzieć, czy potrafisz dostrzec punkt widzenia kogoś innego.

- Och, tato, dlaczego mamy się wzajemnie obwiniać? Stało się. Jeremy pokochał Annę, to takie proste. Przecież nie byliśmy oficjalnie zaręczeni.

- Ale wszyscy uważali was za parę - mruknął ojciec. - Nie rozumiem, jak możesz go widywać z tamą dziewczyną.

- Teraz nie widuję ich zbyt często, tylko przypadkiem - zapewniła go Kate. - Tak czy owak, to już niedługo potrwa i naprawdę nie chciałabym o tym dyskutować. Tato, to nie jest ważne.

Spojrzał na nią ironicznie.

- Dlatego wyjeżdżasz do Afryki, prawda?

Tłumiąc westchnienie, odsunęła krzesło, wstała i uściśliła go.

- Przecież to nie jest koniec świata.

- Nie, ale to daleko. Czy nie mogłaś wybrać jakiegoś miejsca bliżej domu? - Jego oczy podejrzenie błyszczały. Sięgnął po chusteczkę i wytarł nos. - Dlaczego nie Birmingham? To miłe miejsce.

- Wiem. - Otoczyła go ramionami i pocałowała w czubek głowy. - Ale ja potrzebuję zmiany. Czuję, że w Afryce mogę zrobić coś naprawdę dobrego. To nie jest tylko kaprys. Wiesz, Jeremy i ja... to znaczy ja myślę o tym od jakiegoś czasu. Tato, tam potrzebują lekarzy. Poza tym tutaj mam kontrakt tylko na trzy miesiące.

Chrząknął, zdając sobie sprawę, że został pokonany.

- Co to za facet ten Brody? Wiesz coś o nim?

- Brady, tato. Brady jest lekarzem. Nic więcej nie wiem. - Uśmiechnęła się pobłaźliwie, wyczuwając jego intencje. - Nie mógł być w Londynie, kiedy byłam na rozmowie kwalifikacyjnej, ale wkrótce go poznam.

- Proszę cię, bądź ostrożna. Spodziewam się co najmniej jednego listu tygodniowo.

- Obiecuję - przyrzekła zadowolona, że temat Jeremy'ego został wreszcie zamknięty.

Wiedziała, że ojciec kocha ją i troszczy się o nią, ale chciała sama, na swój sposób, uporać się z uczuciami do Jeremy'ego. W Afryce nie będzie musiała widywać codziennie jego i Anny. Miała nadzieję, że czas jak zwykle okaże się najlepszym lekarstwem.

W ciągu kilku następných dni nie myślała o tym, bo miała ręce pełne pracy. Ostatni dzień jej pobytu w szpitalu był tak samo gorączkowy jak zwykle i ledwie znalazła czas, żeby się pożegnać z kolegami.

Wchodząc po raz ostatni do pokoju lekarzy, uświadomiła sobie nagle, że za miesiąc będzie pracowała w nieznanym środowisku w Afryce.

- Niektórzy mają szczęście - rzekła na jej widok Beth Read, z którą studiowała medycynę. Beth życzyła koleżance szczęśliwej podróży, wznosząc toast pospiesznie przygotowaną kawą. - Uważaj na siebie, słyszysz? Muszę już iść. Niektórzy dalej mają tutaj co robić.

Kiedy obejmowała Kate, miała oczy pełne łez i pociągała głośno nosem.

Charlie McLean, lekarz naczelny izby przyjęć, uśmiechnął się szeroko, potrząsając jej ręką.

- Nie zapomnij napisać, żebyśmy wiedzieli, o ile lepiej było ci z nami.

Mike Tucker przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

- Mimo wszystko, będziemy za tobą tęsknić.

- Jestem pewien, że Kate o tym wie - usłyszała głos Jeremy'ego.

Stał w progu i patrzył na jej poczerwieniałą nagle twarz, a ona czuła, że sztywnieje. Miała nadzieję, że Jeremy tu nie przyjdzie. Byłoby jej wtedy znacznie łatwiej; oszczędziłby jej bolesnych wspomnień. On jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Zdołała się na nie lada wysiłek, aby się uśmiechnąć, gdy do niej podszedł. Mimo tego, co czuła przed chwilą, teraz bardzo chciała znaleźć się w jego ramionach i usłyszeć, że to, co się wydarzyło, było straszną pomyłką i że ją wciąż kocha. Wstrzymała oddech, ale wiedziała, że Jeremy nie będzie jej prosił, żeby została.

- Pomyślałem, że wpadnę życzyć ci szczęścia.

Był wysoki, jasnowłosy, pełen chłopięcego uroku, który nadal ją pociągał.

- Sądę, że nie będę go potrzebować. - Roześmiała się, ale nie odpowiedział.

- Afryka jest duża, daleko stąd. - Ujął jej rękę, przyglądając się jej ładnej twarzy. - To zabawne, ale właśnie zaczynam zdawać sobie sprawę, że naprawdę wyjeżdżasz, i to sama. To wydaje mi się takie nieprawdopodobne, zwłaszcza że rozmawialiśmy o wyjeździe razem.

Znów przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

- To prawda, ale plany mogą się zmieniać.

- Mówię poważnie, Kate. Będę za tobą tęsknił, wiesz o tym, prawda?

Zaśmiała się.

- Będiesz zajęty i wątpię, czy nawet będziesz miał czas zauważyć, że mnie nie ma.

- To nieprawda. - Nie był w najlepszym humorze. - Kiedy wyjedziesz, przynajmniej przez miesiąc wszyscy będą się na mnie boczyć. Myślę, że wiesz, że oni winią mnie za twój wyjazd.

Poczuła, jak narasta w niej złość. Była ciekawa, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że rozumie odczucia kolegów i koleżanek. Potem odrzuciła tę myśl, mówiąc sobie, że zachowałaby się śmiesznie.

- Jestem pewna, że się mylisz - rzekła spokojnie. - To nie była niczyja wina. Ja z pewnością cię nie obwiniam.

Uśmiechnął się i wyraźnie odprężył.

- Cieszę się, że wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Prawda, Kate? Podniósł rękę, aby odgarnąć kosmyk włosów z jej policzka.

Instynktownie zeszytniała i chwyciła go za rękę.

- Nie, Jeremy, proszę. To nie jest dobry pomysł. - Spuściła wzrok, nie chcąc widzieć zawodu w jego oczach. Jeżeli nie wyjdzie stąd jak najszybciej, zrobi z siebie idiotkę. - Muszę iść. Wszystkiego najlepszego. Przekaz Annie pozdrowienia. Jestem pewna, że będziecie szczęśliwi.

Skierowała się w stronę drzwi.

- Kate, poczekaj. Nie odchodź w taki sposób. Czy moglibyśmy przynajmniej porozmawiać?

- Jeremy...

W otwartych drzwiach stanęła Anna. Była drobna i piękna; jej subtelne rysy podkreślały krótko obcięte, kręcone włosy.

- Szukam cię wszędzie. Ciekawa jestem, czy zajrzałeś do pana Fenwicka. Jego stan mnie niepokoi. - Uśmiechnęła się do Kate. - Cześć! Miałam nadzieję, że cię jeszcze zastanę. Chciałam ci życzyć wszystkiego dobrego. Oboje ci tego życzymy, prawda, Jeremy? - Spojrzała na niego, a on uśmiechnął się, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Oczywiście. Właśnie o tym mówiłem.

Kate wyszła. Jeremy już nie był częścią jej życia. Widocznie musiało tak być i im wcześniej potrafi to zaakceptować, tym lepiej dla niej.

Miesiąc później siedziała w samolocie wiozącym ją do innej części świata. Kiedy wznosili się wyżej i wyżej w chmury, zostawiając w dole słotny i szary angielski dzień, Kate oparła głowę o fotel, zamknęła oczy i próbowała odpocząć. Nie było to łatwe.

Kiedy indziej cieszyłaby się lotem i wszystkimi przygotowaniami do niego, ale teraz było inaczej z kilku powodów. Czowała się zmęczona i niepewna tego, co ją czeka. Afryka jest tak daleka od tego wszystkiego, co zna. Będzie pracować w obcym środowisku, o którym do tej pory tylko czytała lub które oglądała w telewizji.

Wiedziała, że jest dobrym lekarzem, lecz swe doświadczenia zdobywała jedynie w angielskim szpitalu lub u ojca w prowincjonalnej przychodni. Ostrzegano ją w czasie rozmowy kwalifikacyjnej, że w Ramindi będą zupełnie inne warunki. Może popełnia największy błąd w swoim życiu? Ale taka paniczna refleksja nic tu nie pomoże. Teraz jest już za późno, żeby żałować. Poza tym nie ma sensu wracać.

Mijały godziny. Coraz bardziej irytował ją widok pasażerów, którzy zaczynali stopniowo się odprężyć i jedli posiłek, a potem drzemali w fotelach lub oglądali film. Była wyczerpana, ale nie udało jej się zasnąć,

więc w końcu zrezygnowała. Nie mogła zebrać myśli, coraz bardziej bolała ją głowa.

Uśmiechnięty steward postawił przed nią tacę z jedzeniem. Posiłek wyglądał świeżo i apetycznie. Kate poczuła głód, ale nie mogła przełknąć ani kęsa.

Z listu, który dostarczono jej z kontraktem i biletami, wiedziała, że na lotnisku ktoś będzie na nią czekał. Miała nadzieję, że niezależnie od tego, kto po nią przyjedzie, będzie do niej usposobiony przyjaźnie i zawiezie ją do hotelu. Tam będzie mogła porządnie się wypaść, zanim uda się w dalszą podróż do Ramindi.

Bardzo chciała, żeby znowu jej życie płynęło normalnym trybem. Brakowało jej tego od czasu, kiedy Jeremy powiedział jej, że spotkał kogoś innego. Wciąż pamiętała, jak ją to zaszokowało. Jakim cudem mogła nie zauważyć, że dzieje się coś złego? Co zrobiła nie tak? Czy to jest istotne? Przymknęła na chwilę oczy. Życzyła im dobrze, szkoda tylko, że wciąż go kocha. Ale to był jej sekret. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Nerwowo odwróciła głowę, otworzyła oczy i zobaczyła, że pasażer siedzący w sąsiednim fotelu bacznie jej się przygląda. Gdy na niego spojrzała, natychmiast przedstawił się jako Harry Gardener. Skończył jeść i sięgnął po szklankę z ginem i tonikiem.

- Latanie jest wspaniałe, jeżeli sieje lubi - oznajmił z jowialnym uśmiechem. - Osobiście zawsze uważałem, że jedna albo sześć takich szklaneczek pomaga.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Leci pani na wakacje, prawda?

- Nie, lecę zacząć nową pracę. Jestem lekarzem.

- Nie ukrywam, że robi to na mnie wrażenie. - Sześćdziesięcioletni na oko Amerykanin uśmiechnął się szeroko. - W domu leczą mnie zawsze jakieś stare capy.

Kate roześmiała się.

- Jadę do szpitala w Ramindi. Nie sędzę, żeby pan o nim słyszał.

- Tak się składa, że słyszałem. Nie znam go bliżej, ale obito mi się coś o uszy.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Pan chyba nie jest...

- Diabłem? Nie. - Harry Gardener zaśmiał się. - Zostawiam leczenie innym. Jestem dobroczyńcą.

- Dobroczyńcą?

- Kimś w tym rodzaju. Pracuję dla jednej z organizacji dobroczynnych. Pewnie pani słyszała o Project Overland?

- O, tak. Robią dużo dobrego.

- Jadę tam, żeby wziąć w przyszłym tygodniu udział w międzynarodowej konferencji. Wcześniej jednak muszę odbyć kilka spotkań. Sądzę, że jest to podróż rozpoznawcza. - Uśmiechnął się lekko. - Fundusze są zawsze ograniczone, a tak dużo działań jest wartych zachodu. Nigdy nie jest łatwo rozdzielić pieniądze. W Ramindi podobno odwalają kawał dobrej roboty.

- Dużo o tym słyszałam, ale im jestem bliżej, tym bardziej się denerwuję.

- To jest dobry ośrodek. Moja organizacja pomagała mu finansowo. Oczywiście pracowałem wtedy głównie z George'em.

- Z George'em?

- Z George'em Reynoldsem. Był naczelnym lekarzem, kiedy otwierano szpital.

Kate zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że był nim doktor Brady.

- Sam przyjechał później, jako następca George'a, więc nie znamy się jeszcze. Ale z tego, co słyszałem, jest bardzo dobry w swoim fachu.

Harry wysączył drinka i zaczął wzrokiem szukać stewardesy.

- Słyszałem, że Sam pracował przez pewien czas w Stanach w jednym ze szpitali klinicznych.

Musi więc być stary, pomyślała Kate, próbując stworzyć sobie obraz nowego szefa. Prawdopodobnie jest bliski emerytury i stara się być pożyteczny, zanim wróci do Anglii.

Harry wskazał na swoją szklanke.

- Powinna pani spróbować. To dobrze działa na nerwy. Kate uśmiechnęła się do stewardesy i zamówiła kawę, ku oczywistej dezaprobacie Harry'ego.

- Kawa nie pozwoli pani zasnąć.

I tak nie mogła z przejęcia zmrużyć oka. Odwróciła głowę w stronę okna i spojrzała w bezchmurne, słoneczne niebo.

W dole rozpościerało się morze: żywa, migocąca, srebrzysto-niebieska toń, sięgająca dalekiego wybrzeża. Kate poczuła przyspieszone bicie serca. Wszystko wydawało jej się częścią nierealnego snu i tylko ucisk, który czuła w żołądku, świadczył, że to dzieje się naprawdę.

Utkwiła wzrok w swoim odbiciu w oknie, przesuując ręką po związanych z tyłu głowy włosach. Były długie i miały kolor kasztanów. Czuła, że ich ciężar potęguje ból głowy. A może to napięcie nerwowe?

Jej szare oczy napełniły się łzami. To poważna decyzja w jej życiu: rzuciła pracę, którą lubiła, pożegnała ojca i przyjaciół i przeleciała pół świata, by pracować w nieznanym miejscu i wśród nieznanomych ludzi. Jacy oni będą?

Przymknęła oczy. Obiecywała sobie, że gdy dotrze do hotelu, najpierw weźmie długi, zimny prysznic, a potem będzie spała przez co najmniej osiem godzin. Wtedy będzie gotowa na wszystko.

Jakiś czas później głos Harry'ego Gardenera wyrwał ją z niespokojnego snu.

- Myśle, że podchodzimy do lądowania.

Samolot przechylił się gwałtownie i parę minut później wylądował. Kate wzięła swoją torebkę i zaczęła przesuwając się z resztą pasażerów w stronę wyjścia. Dzień był gorący i wszystko lśniło w słońcu.

Potem wraz z Harrym i tłumem pasażerów weszli do nowoczesnego budynku lotniska. Wewnątrz było chłodno, chociaż na zewnątrz temperatura przekraczała na pewno czterdzieści stopni. Kate cieszyła się, że ubrała się w lekką bluzkę i jasną spódnicę. Dookoła niej kręcili się ludzie różnych narodowości. Patrzyła na tłum i wydawało się jej absurdalne szukanie tam kogoś, kogo nawet nie знаła. Potem większość pasażerów rozproszyła się i poczekalnia prawie opustoszała. Nieco zaniepokojona spojrzała na zegarek.

- Zdaje się, że obydwójce zostaliśmy opuszczeni - roześmiał się Harry, spoglądając na swój zegarek. - Czy jest pani pewna, że ktoś odbierze panią z lotniska?

- Tak, sprawdzałam. - Sięgnęła po torebkę, odwracając do niego twarz.

- Proponuję, żeby pani sprawdziła jeszcze raz. Zmarszczyła brwi.

- A co z pana kierowcą?

- Do diabła, jestem do tego przyzwyczajony. On zawsze się spóźnia. Dobrze, że tym razem mam towarzystwo. Zawsze jeszcze możemy spróbować zadzwonić.

- Poczekam jeszcze kilka minut. Mogło im się coś przytrafić.

- Może mógłbym pomóc? - usłyszała za plecami energiczny, męski głos.

Odrzuciła się wolno i zobaczyła niebieskie oczy. Była zaskoczona, że zaczepia ją ktoś zupełnie obcy. Gdy nieco ochłoneła, przyjrzała się mężczyźnie. Miał twarz o wyrazistych rysach, ciemne, właściwie czarne włosy i zarost nie golony od kilku dni. Sprawiał wrażenie człowieka, który ma za sobą ciężką noc, ale w jego opalonej twarzy był jakiś nieodparty urok. Nie wyglądał na włóczęgę, lecz mimo to kurczowo przycisnęła torebkę do piersi.

- Nie sędę, dziękuję. - Powiedziała to rozmyślnie zniechęcającym tonem i odwróciła się do Harry'ego.

- Doktor Stewart? - Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę Harry'ego. - Przepraszam za spóźnienie. Jestem Sam Brady. Witam w Afryce.

Kate czuła, jak rumieniec wypływa na jej twarz. Odetchnęła głęboko i wyciągnęła do niego dłoń.

- To ja jestem doktor Stewart.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, a ręka mu opadła.

- Pani?!

Stała bez ruchu, czerwieniła się coraz bardziej i czuła, że robi jej się słabo. Wyobrażenie o starszym panu przysło natychmiast. Widziała ledwo tłumioną wrogość w oczach tego mężczyzny, a przecież nie zrobiła nic, żeby na nią zasłużyć.

- Sędę, że ktoś mi zrobił dowcip albo pomylił papiery.

- Nie rozumiem. Powiedziano mi, że potrzebuje pan...

- Prosiłem o lekarza, a nie o nauczycielkę dla dzieci. Oczywiście, zapewne nie sprecyzowałem wystarczająco jasno moich wymagań.

Czuła, że sztywnieje coraz bardziej, gdy taksował ją wzrokiem od stóp do głów. Kątem oka zauważyła, że Harry Gardener sięga po walizkę.

- Widzę właśnie mojego kierowcę, więc idę. - Uścisnął jej ramię, patrząc na nią ze współczuciem. - Wszystkiego najlepszego - dodał i zniknął.

- Jestem lekarzem i mogę pana zapewnić, że mam dobre kwalifikacje - ciągnęła. - Odbyłam staż w szpitalu St. Maud's, gdzie w ubiegłym roku byłam specjalistą...

- Nie jest mi potrzebna lista pani osiągnięć - przerwał szorstko. - Nie wątpię, że na papierze pani kwalifikacje wyglądają dobrze, ale widziałem dużo takich przypadków i proszę mi wierzyć, doktor Stewart, nie wytrzyma pani tu dłużej niż inni.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kate uniosła ze zdumieniem głowę.

- Inni?

- Chyba nie wyobraża sobie pani, że jest pierwsza? - Arogancko wykrzywił usta. - Doktor Stewart, łatwo jest świecić misjonarskim zapalem w jasnym, czystym szpitalu. Tutaj, niestety, rzeczywistość jest inna i mogę przysiąc, że nie jest podobna do niczego, co sobie pani wyobraziła.

- Sądzę, że jest pan niesprawiedliwy...

- Jestem uczciwy. Prawda nie jest taka, jaką chciałaby pani usłyszeć. Afryka jest gorąca i parna. Ludzie głodują tu i umierają. Jestem ciekaw, co, u diabła, chce pani zmienić?

Obrzucił ją lodowatym spojrzeniem, które z pewnością by ją oneśmieliło, gdyby nie była taka wściekła.

- Nie przyjechałam tutaj zmieniać świata z dnia na dzień. Przyjechałam pracować, pracować najlepiej jak potrafię- gdzieś, gdzie moja pomoc będzie potrzebna. Nie spodziewałam się, że będę musiała stawić czoło całkowicie nieusprawiedliwionym insynuacjom na temat mojego charakteru i kwalifikacji. Czy pan ma zwyczaj wysłuchać kogoś, zanim wyda pan wyrok, doktorze Brady?

Przerwała na chwilę, by złapać oddech. Uświadomiła sobie, że Sam Brady jest twardy. Ma rzeczywistą władzę, mimo że nie przekroczył zapewne trzydziestu pięciu lat, i jest bardzo inteligentny.

Podniósł rękę i zaprotestował drwiąco.

- W porządku, cofam, co powiedziałem o nauczycielce dla dzieci. Przepraszam za ciekawość, ale ile pani ma lat? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa?

- Dwadzieścia osiem i bardzo proszę, żeby pan nie zmieniał tematu.

Uniósł lekko brwi.

- Nie do wiary. Aż tyle? I ma pani zapewne jakieś osobiste zobowiązania?

Kate wpatrywała się w niego, wmawiając sobie, że musiała się przesłyszeć. Nagle chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Przez kilka sekund była oszołomiona. Zabrakło jej powietrza i próbowała się oswobodzić z jego objęć.

- Jak pan śmie? Proszę mnie natychmiast puścić.

- Niech pani spojrzy!

Odwracając głowę, zobaczyła nadjeżdżający wózek bagażowy i usunęła się na bok. Zauważyła wesoły błysk w jego oczach i oswobodziła się z furią.

- Czy pani coś mówiła? - spytał miękko.

- To pan mówił, a nie ja! I niech pan zapamięta, doktorze Brady, że moje prywatne życie jest moją osobistą sprawą. Co pana upoważnia, żeby...

Wziął ją pod rękę, kierując się w stronę wyjścia.

- To, że jestem odpowiedzialny za wszystko, co się tutaj dzieje. Powinna pani również wiedzieć od razu, że wymagam stuprocentowego poświęcenia od wszystkich z naszego zespołu.

- I myśli pan, że nie podołam temu, prawda? Ponieważ jestem kobietą. - Roześmiała się. - Czy pana poglądy, doktorze Brady, nie są trochę staromodne?

- Moje poglądy, jak się pani wyraziła, nie mają z tym nic wspólnego. Jesteśmy daleko od domu. Jeżeli wydarzy się coś złego, możemy liczyć tylko na siebie, nasze wspólne doświadczenie i umiejętności. Tutaj nikt nie pracuje osobno, szanowna pani doktor. Godziny pracy są długie, praca cholernie ciężka, a możliwości awansu, o czym chyba powinna pani wiedzieć, niewielkie.

- Więc cóż w tym jest nowego?

Prawie biegła, żeby dotrzeć mu kroku. Otworzyły się drzwi automatyczne, wyszła na zewnątrz i natychmiast poczuła uderzenie fali gorącego powietrza. Poczuła, jak w jednej sekundzie przylepiła się do niej bluzka.

- To właśnie jest nowe. - Patrzył na nią ironicznie, widząc kropelki potu na jej bladej skórze. - Jest gorąco. Proszę mi wierzyć, może być gorzej.

Zwilżyła wyschnięte usta, marząc, by usiąść choć na kilka minut i ochłonać. Wszystko dzieje się zbyt szybko.

- Poradzę sobie - odparła. - Jestem twardsza, niż się panu zdaje. Potrafię zadbać o siebie.

Jego oczy zwęziły się wyraźnie.

- Wątpię, doktor Stewart. Proszę pamiętać, że ja odpowiadam za wszystkich członków grupy i nie mam czasu bawić się w pielęgniarkę.

- Więc co pan radzi? Czy powinnam zawrócić na lotnisko i wrócić pierwszym samolotem?

Cholerny Sam Brady! Przecież nawet jej nie zna i już ją osądza, nie dając jej żadnej szansy.

- Niech pani nie myśli, że nie wykorzystam pani obecności. Tak się składa, że brakuje mi personelu. Ci, których mam, są przepracowani, więc chociaż nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż zobaczyć panią w samolocie do Anglii, najwyraźniej będziemy musieli pracować razem. Przynajmniej do czasu, dopóki nie dostanę odpowiedniego zastępstwa.

Na parkingu podszedł do zakurzonego land rovera, otworzył drzwi i czekał.

Szkoda, że mnie nie lubi, pomyślała. Będzie po prostu musiała pracować z nim, wykonywać swą pracę najlepiej jak potrafi, aby nie miał powodu się skarżyć. Przez chwilę miała wielką ochotę powiedzieć mu, by poszedł do diabła.

- Sądzę, że musimy już ruszać. Wkrótce będzie ciemno, a czeka nas kawał drogi. Chyba nie chce pani spędzać nocy pod gwiazdami?

- To nie będzie konieczne. - Zaciskając zęby, wdrapała się do samochodu. - Proszę mnie zawieźć do mojego hotelu. Marzę jedynie o prysznicu i odrobinie snu. Potem jestem do pana dyspozycji.

- Nie chciałbym pani rozczarować - ciągnął, umieszczając jej bagaż z tyłu, zanim usiadł na miejscu dla kierowcy - ale jest mała zmiana planów. Nie zostanie pani w mieście.

- Nie rozumiem. Hotel jest zarezerwowany.

- Przykro mi, jeżeli jest to dla pani niewygodne. - Uśmiechnął się szeroko. - Będzie pani mogła odpocząć natychmiast, gdy znajdziemy się w Ramindi. Pojedziemy do hotelu, ale tylko po to, żeby odebrać pocztę i spotkać się z przedstawicielem z komisji zdrowia. Potem udamy się prosto do szpitala. Przy odrobinie szczęścia będziemy w Ramindi przed zmrokiem.

- Rozumiem. - Czują, że zaschło jej w ustach, ale postanowiła nie dać niczego po sobie poznać. Spotykała już mężczyzn typu Sama Brady'ego. - W takim razie możemy jechać.

Zacisnęła usta, rozmyślnie odwróciła głowę i wyglądała przez okno, gdy zaczął manewrować w ruchu ulicznym. Była ciekawa, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że czuje się słabo, ale odgadywała, iż lepiej się do tego nie przyznawać.

Z łatwością prowadził samochód przez zatłoczone ulice, a ona była zadowolona, że może skupić się na oglądaniu Nairobi. Była tu pierwszy raz i zupełnie nie wiedziała, czego oczekiwać, lecz najmniej spodziewała się tego, że ujrzy czyste, nowoczesne miasto, gdzie połyskujące, kolorowe krzewy hibiscusów rywalizują z tropikalnymi pnączami bugenwillii i kwitnącymi na niebiesko drzewami dzakarandy, tworząc barwne plamy na tle olbrzymich drapaczy chmur i nowoczesnych hoteli.

- Jak tu pięknie - powiedziała mimowolnie.

- A czego pani oczekiwała? Ognisk i lepierek? - Uśmiechnął się szeroko.

- Nairobi jest prawdziwą niespodzianką dla wielu ludzi przyjeżdżających tu pierwszy raz. - Spojrzał w jej kierunku. - Niech pani posłucha mojej rady i obejrzy jak najwięcej, ponieważ Ramindi to zupełnie inny świat. Robimy,

co się da, żeby warunki odpowiadały zupełnie podstawowym standardom. Jeżeli pani tęskni za jakimkolwiek życiem towarzyskim, obawiam się, że będzie pani rozczarowana. Nie ma go, ale nie dlatego, że nie będzie miała pani czasu na odpoczynek.

- Proszę się nie martwić, doktorze Brady. Jestem tu po to, żeby pracować, nawet jeśli trudno to panu zrozumieć. Może pana zdziwi, ale nie zabrałam z sobą nawet wieczorowej sukni.

Zrobił niezadowoloną minę.

- Czy pani zawsze jest taka drażliwa?

Spojrzała na niego i napotkała jego oczy, przyglądające się jej z przyjemnością.

- Jestem zmęczona - powiedziała cicho. - To był długi lot.

Zbyt długi... Miała mnóstwo czasu i nie potrafiła się powstrzymać, by nie myśleć o Jeremym. Odchyliła głowę do tyłu, opierając się o fotel. Zamknęła oczy i umyślnie odgrodziła się od Sama. Przyjazd do Afryki miał być ucieczką do nowego życia. Ostatnią rzeczą, której oczekiwała, była wymiana jednych problemów na inne.

Nieświadomie westchnęła. Odwrócił głowę, przyjrzał się jej zmęczonej twarzy, zmarszczył brwi i zatrzymał samochód, wyłączając silnik. Z wysiłkiem otworzyła oczy i rozejrzała się wokół.

- Czy jesteśmy już na miejscu?

- To hotel. Nie powinno mi zabrać zbyt wiele czasu to, co mam do załatwienia.

- Czuję się dobrze - wymamrotała. Chciała mu powiedzieć, że daje mu tyle czasu, ile on potrzebuje, aby tylko mogła wtedy spać. - Poczekam tutaj.

- Może pani poczekać w środku - powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu. Westchnęła ciężko, gdy pomagał jej wysiąść. Poprowadził ją w kierunku olbrzymich, przeszkłonych drzwi hotelu. - W środku jest chłodniej. Poproszę, żeby podali pani dużo soku owocowego z lodem. Proszę to wszystko wypić.

Bezwiednie wyciągnęła rękę i natychmiast podtrzymał ją.

- Co pani jest?

Był za blisko. Czowała subtelny zapach płynu po goleniu, którego używał. Jeremy zawsze wołał ostrzejsze zapachy...

Trzęsły jej się ręce i oddychała ciężko, lecz zdołała się uwolnić z jego uścisku. Co sobie o niej pomyśli? Nie takie wrażenie chciała wyrzucić pierwszego dnia swej nowej pracy.

- Nic mi nie jest, doktorze Brady - oświadczyła dzielnie, po czym osunęła się na podłogę i zemdląca.

Leżała otumaniona z potwornym bólem głowy. Czuła się okropnie. Co się stało? Rozmawiała normalnie i nagle...

- Och, nie! - Jęknęła, gdy oprzytomniała i dotarło do niej, że Sam Brady nachyla się nad nią, rozpinając guziki jej bluzki. - Co pan robi? - Odepchnęła go mocno, Wytężając wszystkie siły, by usiąść.

- Nie chciałem...

Nagle zbladła, jakby cała krew odpłynęła z jej policzków i z jękiem przerażenia opadła na poduszki.

- Próbowałem panią ostrzec - powiedział, zagryzając wargi.

- Co się stało? Gdzie jestem?

- Zemdlała pani. Próbowałem rozluźnić pani ubranie. To jest typowa procedura: rozluźnić ubranie...

- Wiem, jaka jest typowa procedura. - Spojrzała na niego z oburzeniem. - Nigdy przedtem w swoim życiu nie zemdlałam - powiedziała dobitnie. - Nie mam skłonności do omdleń.

- Zawsze jest pierwszy raz. - Stał i przyglądał się jej, a gdy przycisnęła rękę do bolącej głowy, zasłonił okno. - Kiedy pani ostatnio spała i jadła?

- Nie pamiętam... Zmarszczył brwi.

- No tak. Już wiem, jak pani o siebie dba, doktor Stewart. Ale tu obowiązują inne reguły i wkrótce pozna je pani lepiej. Tutaj tysiące ludzi walczy o pozostanie przy życiu. Pierwsza zasada jest taka, że odtąd będzie pani jadła i piła regularnie, czy się to pani podoba, czy nie. Nikt pani nie mówił o niebezpieczeństwie odwodnienia organizmu?

- Tak, oczywiście, ale...

- Nie pomoże pani nikomu, jeżeli nie będzie pani mocno stała na własnych nogach. Proszę to wziąć.

Wepchnął jej do ręki dwie tabletki, podając równocześnie szklankę wody z lodem. Podtrzymał ją za tył głowy, prawie zmuszając, aby wypła wszystko. Czuła się zbyt zmęczona, by protestować.

- Głowa już mnie tak nie boli - szepnęła, czując, jak cudownie zimna woda chłodzi jej spieczone gardło.

- Nie umie pani kłamać, doktor Stewart. Zacerwieniła się z oburzenia, ale zignorował to, wyjmując szybko szklankę z jej ręki.

- Rozmawiałem z kierownikiem hotelu i zamówiłem dla pani tacę z jedzeniem i termos z sokiem. Proszę zjeść, wypić sok i wyspać się.

Wpatrywała się w niego oczami pełnymi łez.

- Myślałam, że pan ma spotkanie...

- Wszystko w porządku. Tak się złożyło, że ten człowiek z rządowej komisji zdrowia spóźnił się i czeka teraz na mnie na dole. Przy kolacji przedyskutujemy to, co trzeba. Potem, mam nadzieję, będę mógł również się przespać.

- Przepraszam za to, co się stało. Zrozumiałam, że pan nie chce mnie tutaj, ale zapewniam pana, że mam zamiar być silna...

Na jego twarzy odmalował się niespodziewanie wyraz ulgi.

- Cieszę się, że to słyszę. U nas każdy musi być w stanie wykonać swoją część pracy.

Patrzyła na niego odważnym wzrokiem.

- Chciałam zapytać, czy da mi pan możliwość udowodnienia, że potrafię pracować. Może byłoby lepiej, gdyby traktował mnie pan jak lekarza, a nie jak kobietę.

- Spróbuję - przytaknął i ruszył w kierunku drzwi, po czym odwrócił się nagle. - Dam pani szansę. Według mnie upłynie około miesiąca i będzie pani błagać, żebym panią odesłał do domu. Ponieważ mamy razem pracować, proszę mi mówić po imieniu. Mam na imię Sam. I proszę się wyspać. Wyjeżdżam do Ramindi o świcie, z tobą lub sam.

I tyle go tego wieczoru widziała.

Miała wielką ochotę powiedzieć mu, żeby poszedł do diabła, ale zdała sobie sprawę, że zapewne chętnie by to usłyszał. Uniosła do góry głowę i postanowiła go zaskoczyć. Będą pracować razem, a ona wykorzysta każdą okazję, żeby doktor Sam Brady udławił się własnymi słowami.

Następnego ranka, gdy połykała dwie tabletki aspiryny i piła kawę, on już stał obok starego land rovera. Przewiesiła torbę przez ramię i pospieszenie wyszła z hotelu. Zdziwiło ją, że było dosyć chłodno, ale na szczęście miała przy sobie lekki żakiet.

- Dzień dobry.

Czuła się wypoczęta, mimo że ból głowy nie minął jeszcze całkowicie. Miała na sobie szare, niezbyt modne spodnie. Może będzie jej za gorąco, ale przynajmniej ochronią jej nogi przed słońcem i żarłoczną chmurą owadów, których, jak zdążyła zauważyć, jest tu mnóstwo. Wybrała lekką, krótką bluzkę koloru koralowego, która osłaniała jej szyję i ramiona. Włosy miała ściągnięte do tyłu, związane kolorowym, cienkim szalikiem, głowę zaś chronił jej biały, płócienny kapelusz.

- Dobrze spałaś? - Sam ulokował jej walizkę i swoją torbę na tylnym siedzeniu, po czym usiadł przy niej.

- Jak kłoda, dziękuję.

- To znaczy, że tabletki nasenne zadziałały.

Uśmiech igrał na jego ustach, gdy na nią spojrział. Przyglądała mu się z niedowierzaniem, trzymając się kurczowo oparcia, bo właśnie ruszyli.

- Musiałem to zrobić, bo potrzebowałaś snu. Była oburzona.
- Więc cel uświęca środki, tak? Czy to chciałeś powiedzieć?
- Czasami - odparł ze złośliwą satysfakcją.

Wstrzymała się z odpowiedzią, usiłując zachować odpowiednią odległość od niego, gdy prowadził samochód. Wreszcie dojechali do peryferii miasta.

- Odtąd droga jest trochę bardziej wyboista.

Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, gdy stary pojazd bez ostrzeżenia przechylił się w koleinie, rzucając ją na niego. Otwartą dłonią oparła się o jego ciepłe, silne ramię. Uśmiechnął się lekko.

- Lepiej się trzymaj. Droga będzie coraz gorsza. Odsunęła się pospiesznie na swoje miejsce.

- Czy to jest najlepszy środek transportu, jakim dysponujesz?
- To jest jedyny środek transportu.

Zerknęła na niego, wciskając się w drżącą framugę drzwi. Sam był skoncentrowany na prowadzeniu samochodu.

- Może nie wygląda najlepiej, ale spełnia swoje zadanie. Poza terenem miast drogi są na ogół zaledwie nieco szersze od polnych. - Przetarł wierzchem dłoni czoło, wycierając pot. - I tak mamy szczęście, bo większość pacjentów przychodzi do Ramindi pieszo. Czasami idą przez kilka dni, niosąc na rękach dzieci lub prowadząc starszych krewnych.

Kate z niezadowoloną miną odganiała od twarzy chmarę much.

- Domyślam się, że jeździecie w teren?

- Tak, i wtedy korzystamy z większego samochodu dostawczego. Ale kiedy próbuje się objąć opieką tak duży obszar jak tu, to oczywiście liczba wizyt w każdej wiosce czy miasteczku jest ograniczona. Robimy, co możemy. Wiem doskonale, że jest to za mało. Nigdy nie będzie dosyć.

Kate zerknęła na niego ukradkiem i napotkała jego wzrok.

- Jeśli naprawdę masz wątpliwości co do sensu tego wszystkiego, to po co to ciągnąć?

- Bo to jest lepsze niż nic. Każdy dzień przynosi coś nowego i wiem, że jutro i pojutrze będzie podobnie. Zawsze będzie następny pacjent, następne tysiące pacjentów.

Była poruszona tonem, jakim to powiedział.

- Więc jak dajecie sobie radę?

- Jakoś musimy, nie mamy wyboru. - Skrzywił się. - Wierz mi, śmiertelność tutaj jest tak wysoka, że aż trudno to sobie wyobrazić. -

Spojrzał na nią badawczo, odrywając na moment wzrok od drogi. - Jeżeli wydawałem ci się zbyt szorstki, to dlatego, że zobaczysz tutaj niewyobrażalne cierpienie i nie będziesz mogła od tego uciec. Właśnie dlatego, że jesteś zbyt wrażliwa i z tęsknoty za domem będziesz sięgała po słuchawkę telefonu.

- Myślisz, że tak właśnie zrobię? Jak możesz tak mówić? Przecież nawet mnie nie znasz.

- Nie jesteś pierwszym i ostatnim lekarzem, który przyjechał tutaj pełen pionierskiego zapału, myśląc, że potrafi dokonać cudu i zmienić wszystko na lepsze.

- Nie miałam zamiaru dokonywania cudu, ale z pewnością mam prawo spróbować... coś zrobić - rzekła, patrząc na niego.

Uśmiechnął się sceptycznie.

- Jak już powiedziałem, nim upłynie miesiąc, będziesz płakała w poduszkę. Staniesz się dla nas ciężarem.

- Może jestem twardsza, niż ci się wydaje.

- Chciałbym, żebyś miała rację.

Odwrócił się od niej, koncentrując uwagę na prowadzeniu samochodu. Przyglądała się jego profilowi. Ciemne włosy skręcały się lekko na kołnierzyku koszuli. Nie miała wątpliwości, że jego nieregularne rysy ukrywają upór i bezwzględność.

Przetarła ręką czoło. Było jej gorąco i czuła, że cała się lepi od potu. Kurz zatykał jej wszystkie pory i pokrywał włosy. Na moment wróciła myślami do Anglii, do Foxleigh - małej wioski, w której mieszkała. Prawdopodobnie pada tam teraz deszcz, a może nawet śnieg. Odsunęła od siebie ten obraz. Obiecywała sobie, że nie będzie myśleć o domu. Zaczyna nową pracę i musi udowodnić Samowi, że się do niej nadaje, a nie tęsknić za domem, zanim jeszcze rozpakowała bagaże.

- Słyszałam, że realizujecie obecnie program szczepień. Sądzę, że odra stanowi największy problem.

- Odra, heinemedina, malaria, gruźlica.

- Gruźlica szerzy się również w Anglii. Nie rozumiem dlaczego.

- To proste. Dużo ludzi żyje w okropnych warunkach. Jeśli są bezrobotni, wtedy nie mają pieniędzy, żeby się odpowiednio odżywiać, a człowiek niedożywiony jest bardziej podatny na choroby. Jesteś lekarzem, więc wiesz o tym, prawda?

- Tak, oczywiście. - Zaczerwieniła się. - Do tego już zdążyliśmy się przyzwyczać. Gruźlica jest chorobą, o której moi rodzice i dziadkowie

wiedzieli wszystko, i była opanowana. A teraz znowu w szpitalach spotykamy wiele przypadków gruźlicy.

- Jeśli dysponujemy skutecznymi lekami, możemy ograniczyć liczbę zgonów praktycznie do zera.

- Pod warunkiem, że zarazki nie okażą się odporne na poda[^] wane leki.

Spojrzał w jej kierunku.

- Brawo, doktor Stewart.

Te Spokojnie wypowiedziane słowa sprawiły jej wielką przyjemność.

- Cieszę się, że zdałam. Czy był to sprawdzian moich zawodowych możliwości?

Roześmiał się.

- Żadna znajomość teorii nie zastąpi doświadczenia praktycznego. - Przesunął wzrok znowu na drogę. - Spróbuj odpocząć. Jeszcze daleko do szpitala.

Odpocząć? Jakim cudem mogłaby odpocząć? W jego towarzystwie nie jest to możliwe. Sam Brady budzi w niej niepokój. Ma wyjątkową zdolność sprawiania przykrości. Zdecydowała, że gdy tylko dotrą do Ramindi, rzuci się w wir pracy.

W ciągu następnej godziny zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Przestali rozmawiać, ponieważ Sam koncentrował wszystkie siły na utrzymaniu samochodu na pełnej kurzu drodze, pozwalając Kate przyglądać się przez okno bezchmurnemu niebu.

Odganiając się od rojów natrętnych much, patrzyła na odległe akacje i pozółkłą trawę, w której gdzieniegdzie pojawiały się małe kępy drzew i chaty z płaskimi dachami. Od czasu do czasu widziała figurki ubrane w brązowe okrycia z liści, pasące małe stada kóz lub bydła.

Ogarniała ją coraz większa senność. Zamknęła oczy, chroniąc je przed kurzem. Marzył jej się zimny prysznic i łóżko z chłodnymi prześcieradłami i miękką poduszką.

- Przed nami Ramindi.

Na dźwięk głosu podniosła powieki i powoli zaczęło docierać do jej świadomości, że opiera głowę na czymś twardym. Musiała zasnąć na ramieniu Sama. Czują, jak jego mięśnie napinają się, gdy manewrował land roverem po suchym wąwozie, który pokonywali. Odruchowo wyprostowała się i odsunęła, patrząc mu w oczy i wiedząc, że się rumieni.

- Przepraszam. - Zwilżyła językiem suche usta. - Musiałam się zrzemnąć.

- Spałaś godzinę. - Pokiwał głową. - To jest Ramindi. Za pięć minut będziemy na miejscu.

Samochód skręcił w tumanie kurzu w ogrodzony teren i po chwili zatrzymał się.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Odniosła wrażenie, że Ramindi składa się z kilkunastu drewnianych domków, których część ustawiono na stoku wzgórza. Ocieniały je drzewa, pod którymi siedziały grupki kobiet i dzieci. Niektóre domki miały ganki. Na jednym z nich pojawiła się właśnie postać, która, przesłoniwszy oczy, patrzyła w stronę drogi. Nagle postać ta ruszyła im na spotkanie.

Była to kobieta ubrana w białą suknię z krótkimi rękawami, przewiązaną w pasie granatowym paskiem. Miała krótko obcięte, jasne włosy.

- Cześć - powitała Sama. - Jak podróż?

- Produktywna. - Wystawił bagaż Kate na ziemię, po czym sięgnął po turystyczną lodówkę, którą ostrożnie podał dziewczynie. - Oto zdobycz.

- Szczepionki! Dzięki Bogu.

- To nie wszystko.

Z lekkim uśmiechem rzucił na pudło kolorowe koperty.

- Poczta! Sam, jesteś najcudowniejszym człowiekiem pod słońcem. Ale skąd... - Zawiesiła głos i wskazała na lodówkę.

- To dzięki uprzejmości pewnego kierownika hotelu.

- Już się niepokoiłszy o ciebie. - W jej opalonej twarzy błysnęły białe zęby. - Myśleliśmy, że może wzięłaś sobie po cichu urlop.

- To trochę moja wina - wtrąciła Kate przeproszającym tonem.

- Ależ nic się nie stało! - zawołała dziewczyna przyjaźnie. - Pozbycie się Sama graniczyłoby z cudem. Nie martw się i witaj w Ramindi. Jill Forbes - przedstawiła się i wyciągnęła rękę.

- To jest doktor Stewart - wyjaśnił Sam. - A Jill to nasza siostra przełożona. Bez niej nie przeżylibyśmy ani dnia.

- Jak on pięknie mówi... - rozmarzyła się Jill. - I cieszymy się, że przyjechałaś. Sam ci chyba mówił, że brakuje nam ludzi. Mam nadzieję, że nie udało mu się cię wystraszyć.

Ignorując wzrok Sama, Kate uśmiechnęła się zagadkowo.

- Wiem, że macie trudną sytuację. A na imię mam Kate.

- A jak było w samolocie?

- Nudno. I naprawdę się cieszę, że tu dotarłam, a Sam nie jest taki groźny. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę pracę.

- Może się najpierw przekonaj, co cię naprawdę czeka. - Usta Sama zadrgały w ironicznym grymasie. - Wolno ci jeszcze zmienić zdanie.

- Na pewno tego nie zrobię.

Sam jednak już jej nie słuchał, bo patrzył na zegarek.

- Muszę iść na obchód. Jak Ben?

- Nie najlepiej. - Twarz Jill sposepniała.
- A niech to! Dalej wymiotuje? Skinęła głową.
- A wyniki badań?
- Przyszły dziś rano. Obawiam się, że jest tak, jak podejrzewałeś.
- Cholera! Już tam idę. Kto ma dyżur w przychodni?
- Doktor Ahmed.
- A co z matkami i niemowlętami?
- Greg mówił, żebyś się nie martwił. Daje sobie radę. Wandę mu pomaga.

Kate przenosiła niespokojnie wzrok z jednego na drugie.

- Widzę, że macie problem - powiedziała. - Czuję się trochę odpowiedzialna. Chcę pomóc.

- Teraz najlepiej zrobisz, jeśli coś zjesz, weźmiesz prysznic i odpoczniesz. Jill ci wszystko pokaże - odparł Sam.

- Nie jestem zmęczona. - Czują, że pieką ją policzki. - Chcę pomóc. Przecież po to tu przyjechałam.

- Pomoże pani, słuchając poleceń, pani doktor. - Oczy Sama zwały się. - Nie przydasz się na nic, jeśli się będziesz ślaniała na nogach. Masz być gotowa jutro rano.

Odszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Stała i czuła, jak narasta w niej złość i frustracja.

- Dobrze się czujesz? - spytała Jill.

- Co? Ach, tak, dobrze.

Kate dotknęła skroni i usiłowała uporządkować myśli. Opuszczała Anglię pełna entuzjazmu, mówiąc sobie, że zajmie się czymś bardzo pożytecznym. Nie spodziewała się jedynie tego, że spotka kogoś tak nieugiętego jak Sam Brady, który od samego początku wiedział, że jako lekarz Kate nie na wiele się przyda i on nie ma absolutnie ochoty na eksperymenty.

- Czy mi się zdaje, czy wyczuwam między wami napięcie? - spytała Jill, gdy szły w stronę jednego z mniejszych domków.

Kate roześmiała się nerwowo, patrząc na Jill z sympatią.

- Można powiedzieć, że oboje wstaliśmy dziś lewą nogą

- odparła lekkim tonem. - Nie wiem, czego doktor Brady oczekiwał. Mam wrażenie, że na mój widok doznał zawodu.

- Sam bywa szorstki, ale się nie przejmuj. Polubisz go, kiedy go lepiej poznasz.

- No cóż, wierzę ci na słowo. Jill uśmiechnęła się tajemniczo.

- Od kilku miesięcy pracujemy w strasznym stresie. Sam ledwo żyje, odkąd George wyjechał.

- Słyszałam, że były jakieś problemy. Nie wiem tylko...

Jill pozdrowiła przechodzącą pielęgniarkę i wyjaśniła:

- George ma artretyzm. Początkowo nie dawał mu się mocno we znaki i George, jak to George, pracował za dwóch. No i w końcu zaczęły się kłopoty z biodrem. Pewnie myślał, że jeśli to zlekceważy, samo przejdzie, zwłaszcza że potem pracował mniej, bo przyjechał Sam. Chyba jednak trochę przeciągnął strunę. I Sam mu to powiedział.

- Czym się to skończyło?

- George w końcu się poddał i trzy miesiące temu pojechał do Anglii na operację. Kierownictwo ośrodka przejął Sam. -Weszły na werandę. - Ale przede wszystkim się rozgość. Chyba marzysz o prysznicu i gorącej herbacie. To twój pokój - powiedziała, otwierając drzwi. - Nie jest wytorny, ale nie będziesz spędzała tu wiele czasu.

Kate rzuciła torbę na łóżko i rozejrzała się. Zauważyła kolorowe firanki, podobną narzutę na łóżku, komodę, mały stolik i krzesło.

- W porządku - orzekła. - Jest tu chłodno i mam wszystko, czego potrzebuję.

Gdy wyjęła ubrania, książki i przybory kosmetyczne, podeszła do okna.

- Ile macie oddziałów?

- Pięć. Później ci wszystko pokażę i poznam cię z ludźmi, którzy tu pracują. Ale spokojnie. Nikt nie oczekuje, że weźmiesz się do roboty w ciągu pierwszej doby. - Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Ja bardzo chciałam, ale nie miałam siły. Dopiero po kilku dniach byłam w stanie powiedzieć, jaki mamy dzień tygodnia. Może byś się przespała?

- Nie będę nawet próbować - odparła Kate. - Czuję się, jakby mój organizm był nadal w Anglii. Chciałabym już zacząć.

Jill uśmiechnęła się z uznaniem.

- Nie powiem, że nie przyda się dodatkowa para rąk. - Przystanąła przy drzwiach z poważną miną. - Wiesz, Sam jest naprawdę w porządku. Po prostu poznałaś go w trudnym momencie. Wśród uchodźców z północy mamy mnóstwo przypadków cholery. Na dodatek martwi się Benem. - Jej usta wydeły się w podkówkę. - Wiesz, to właściwie szczęście, że mamy Sama.

Kate usiłowała wymazać z pamięci obraz ogorzałej od słońca, przystojnej twarzy i zniewalających niebieskich oczu. Sam Brady może być najlepszym lekarzem na świecie i z tym gotowa była się zgodzić. Nie

potrafiła jednak ujrzeć go w tak pozytywnym świetle, w jakim przedstawiała go Jill.

- Kim jest Ben? - spytała w końcu. Twarz Jill sposepniała.

- To dziecko, ma chyba ze trzy lata. Przyjęto go dwa dni temu razem z matką. Zdaje się, że wędrowała z nim przez kilka dni i sama jest skrajnie wycieńczona. Gdyby nie podwiozła ich nasza ciężarówka, pewnie by nie dotarli do szpitala.

Machnęła ręką, by opędzić się od natrętnej muchy.

- Co mu jest?

- Powikłania mózgowie w malarii.

- O nie! W jakim jest stanie?

- Marnym. Sam dał mu od razu chlorochinę, problem jednak polega na tym, że zarazki malarii potrafią uodpornić się na ten lek, i to jest naprawdę dramat.

- Tak właśnie się stało w przypadku Bena?

- Najwyraźniej. I Sam musi coś wymyślić. - Jill westchnęła. - Dlatego jest bardziej drażliwy niż zwykle.

Kate usiadła na łóżku.

- Jakie ten chłopiec ma szanse? - spytała.

- Niewielkie, ale jest w dobrych rękach. Sam łatwo się nie poddaje.

To prawda, pomyślała Kate. Ta sprawa częściowo wyjaśnia, dlaczego był wobec niej tak wrogo nastawiony.

- Ojej! - zawołała Jill, patrząc na zegarek. - Muszę być na oddziale za piętnaście minut. A może pójdziesz ze mną, czy raczej wolisz się rozpakować? Nie bój się przyznać, że wolisz zostać. Po tak długim locie każdy czuje się wyczerpany i nikt nic złego o tobie nie pomyśli.

Nikt z wyjątkiem Sama, pomyślała Kate.

- Chętnie z tobą pójdę, jeśli się zgadzasz. I dziękuję.

- Wiesz? Dobrze, że tu przyjechałaś.

- Powiedziałaś, że macie pięć oddziałów.

- Tak. Męski, żeński, dziecięcy, pooperacyjny i położniczy.

- Minęły po drodze hałaśliwą grupę kobiet i dzieci, zmierzającą w kierunku domków. - Tak to wygląda teoretycznie. Mamy także dwa dyżury lekarskie dziennie i dlatego tyle tu ludzi.

Głośno pozdrowiła kobiety, które odpowiedziały jej gestem dłoni i uśmiechem.

- Zaczynacie pracę wcześniej rano?

- Tak, bo wtedy jest najchłodniej. Już teraz jest bardzo ciepło, ale później będzie nie do wytrzymania.

Kate bez trudu jej uwierzyła, bo na plecach poczuła stróżkę potu.

- To tu. - Jill pierwsza przekroczyła próg, niemal zderzając się w drodze z pędzącym malcem. Tuż za nim biegła zdyszana dziewczyna, która w ostatniej chwili zdołała go chwycić. - Ingabire, chciałabym ci przedstawić doktor Kate Stewart z Anglii. Kate, to jest Ingabire, jedna z naszych pielęgniarek.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, ukazując rząd białych, równych zębów i pozdrowiła Kate, ta zaś uśmiechnęła się do dziecka, które obserwowało je z paluszkami w buzi.

- Widzę, że ma pani pełne ręce roboty - zwróciła się do pielęgniarki.

- Ingabire jest tu prawie rok - odparła Jill z uśmiechem.

- Dzieci ją uwielbiają. - Odwróciła głowę w stronę dziewczyny.

- Oprowadzam doktor Stewart po naszym szpitalu. A przy okazji, jak ma się Thomas? Już chyba jest po zabiegu.

- Skończyli pół godziny temu. Doktor Brady już był u niego. Jest dalej w sali pooperacyjnej, ale wszystko dobrze.

- Zawiadam mnie, kiedy go przywiozą na oddział. Dziewczyna skinęła głową i pospiesznie odeszła. Dziecko usiłowało złapać powiewający, barwny szal, którym przykrywała sobie włosy. Jill zaprowadziła Kate do małego pomieszczenia na końcu domku.

- To jest nasza „kancelaria” - rzekła z szerokim uśmiechem, wskazując małe biurko, które pamiętało lepsze czasy, po czym otworzyła jedną z szuflad w równie starym segregatorze. - A tu trzymamy karty pacjentów.

- Ile macie miejsc na każdym oddziale?

- Trzydzieści pięć. I wszystkie łóżka są zawsze zajęte. Kiedy tylko zwalniamy jakiegoś pacjenta, następny już czeka.

- To co robicie w nagłych wypadkach?

Jill uśmiechnęła się ironicznie i rzuciła na biurko kilka kart.

- Tutaj większość przypadków to są przypadki nagłe w taki czy inny sposób. Na przykład mały Thomas. Ma onchocerkozę.

Kate zmarszczyła czoło.

- To wywołują robaki?

- Tak. Choroba roznosi się przez ukąszenia małych muszek. Źródło infekcji jest w strumieniach i wywołuje je nitkowiec. Te pasożyty żyją w małych zgrubieniach lub guzkach na głowie, klatce piersiowej, na kolanach lub łokciach.

- Nie widziałam wielu takich przypadków - przyznała Kate

- ale wydaje mi się, że zakażona skóra jest jaśniejsza.

- Tak.

Jill podała jej kartę Thomasa i Kate przeczytała ją uważnie.

- To dlatego miał zabieg? - spytała. - A jak potem wygląda leczenie?

- Dostanie dietylkarbamazynę.

- Jak ustalacie, który chory ma pierwszeństwo?

- Nie robimy tego - odparła Jill. - Ale nie martw się. U nas kto pierwszy, ten lepszy. No, na ogół. Może ci się to wydawać nieco dziwne, ale ten system naprawdę działa. Szybko się do tego przyzwyczaisz.

- Mam nadzieję - odparła Kate z uśmiechem.

- Aha, właśnie z oddziału wychodzi ktoś, kogo koniecznie musisz poznać. Ten człowiek jest jak trąba powietrzna. Nie wiadomo, kiedy będziesz miała następną szansę.

Jill rzuciła się w pościg za wysokim mężczyzną o płowych włosach, który miał na sobie biały kitel.

- Greg, poznaj doktor Stewart. Kate, to jest Greg Cooper, zastępca szefa...

- I wół roboczy. - Brązowe oczy załśniły, gdy skończył wpisywać coś do notesu i spojrzał na Kate. Miał około trzydziestu pięciu lat, był opalony i przystojny. - Z przyjemnością witamy tu każdą nową twarz - powiedział i wyciągnął rękę. - Zwłaszcza ładną. - Jego głos miał silny kanadyjski akcent. - Proszę mi mówić Greg.

- Kate - odparła i z radością oddała mu uścisk dłoni.

- Wiem, że będzie się nam dobrze pracowało. - Nie puszczał jej ręki. - Może się później spotkamy i omówimy poszczególne przypadki?

- Nie przejmuj się nim - wtrąciła Jill. - Jest niepoprawny.

- Przyznaję się do winy. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale tak serio, to naprawdę chętnie widzimy każdą pomoc.

- Właśnie oprowadzam Kate. Pewnie nie widziałeś Sama?

- Teraz nie. - Uśmiechnął się do Kate. - Przykro mi, ale... - teatralnie westchnął - powinienem wyciąć zaraz czyraka. Spotkamy się później.

- Do zobaczenia.

Jill patrzyła za nim z uśmiechem.

- Nie jest groźny. Po prostu traktuj wszystko, co mówi, z pewnym dystansem.

Weszły do sali i Jill przystanąła przed jednym z metalowych

- To jest Hirigo - poinformowała. - Zjawił się u nas trzy dni temu i nadal jest w kiepskim stanie.

Kate przejrzała kartę i stanęła z boku łóżka, przyglądając się śpiącemu dziecku. Automatycznie zbadła puls i spytała:

- Ile ma lat? Półtora roku? Dwa lata?

- Cztery.

Kate pokręciła głową i ponownie przejrzała notatki.

- Aha, ma kwasziorkor. To znaczy ostry niedobór białka energetycznego. Jill skinęła głową.

- Główną przyczyną jest oczywiście niewłaściwe odżywianie, ale nie tylko. Dochodzi do tego bieda, przesady kulturowe oraz niechęć do podawania dziecku na przykład mleka, ryb lub jajek, bo rodzice są zdania, że wywołują one robaki.

- Chyba żartujesz?

- Niestety nie. W tym przypadku jednak powód jest prosty. Mały nie był w niemowlęctwie karmiony mlekiem matki.

- To znaczy, że matka nie miała pokarmu? Ale przecież można go zastąpić.

- Jego matka natychmiast zaszła w ciążę i wkrótce pojawiło się drugie dziecko. Pierwsze idzie wtedy w odstawkę i z naszych obserwacji wynika, że już nigdy nie jest w stanie rozwijać się prawidłowo.

Kate starała się zwalczyć w sobie poczucie frustracji. Nie może sobie pozwalać na takie stany; właśnie z takimi przypadkami będzie miała tutaj nieustannie do czynienia.

Pochyliła się i delikatnie dotknęła spuchniętej nogi dziecka,

łóżek. Zdjęła kartę i podała ją Kate obejrzała język - był jasnoczerwony, co świadczyło o braku ryboflawiny - oraz małe guzki i pęknięcia na skórze.

- Biedactwo - powiedziała w końcu. - Na pewno jest bardzo słaby. Domyślałam się, że jest na diecie wysokoenergetycznej?

- Dajemy mu rozcieńczone mleko, żeby zapobiec bieguncie i wymiotom. Jutro może podamy mu pełne mleko z cukrem, oliwą i wodą. Przez pierwsze dwa dni musieliśmy go karmić przez rurkę gastryczną, ale teraz potrafi już pić z kubka. Oczywiście z pomocą.

- Główny problem polega pewnie na tym, jak skłonić matkę do prawidłowego karmienia go, kiedy wróci do domu.

Jill pokiwała głową.

- To nie będzie łatwe. - Powiesiła kartę w nogach łóżka i poszły dalej. - Ona jest znowu w ciąży. To już piąte. Ale postaramy się jakoś jej wszystko wytłumaczyć.

Po kolei przystawały przy każdym łóżku i Jill przedstawiała Kate małych pacjentów. Przy ostatnim powiedziała:

- A to jest mały Ben. - Czekala, aż pielęgniarka sprawdzi kroplówkę i wpisze uwagi do karty. Mimo że słońce zaczęło już zachodzić, powietrze było nadal gorące i przy łóżku warczał wiatraczek. - Jak on się czuje?

- Mniej więcej tak samo - odparła pielęgniarka.

- Kangwana, to jest doktor Stewart, która przyjechała do nas z Anglii.

- Witamy w Ramindi, pani doktor - powiedziała dziewczyna z uśmiechem i pospiesznie odeszła z naręczem, brudnych pieluszek.

- Mogę go zbadać? - Kate spojrzała na chłopca, którego malutkie, cienkie nóżki były mokre od potu, lecz mimo to dziecko drżało i niespokojnie rzucało głową na boki.

- Proszę.

Kate popatrzyła na opadającą i wznoszącą się z trudem klatkę piersiową malca, po czym ujęła jego rączkę i wyczuła urywany puls.

- Od dawna jest w takim stanie?

- Od trzech dni.

Kate przeczytała kartę podaną jej przez Jill, potem uniosła powieki malca i dokładnie obejrzała ręce.

- A więc jaka jest pani diagnoza, pani doktor? Usłyszawszy głos Sama, Kate drgnęła.

- Nie widziałam wielu przypadków takiej malarii - powiedziała, podnosząc powoli głowę.

- Byłbym zdziwiony, gdyby tak było - odparł obojętnie. - Niestety, tutaj jest to na porządku dziennym. - Jego niebieskie oczy zwięzły się, gdy patrzył na jej biały fartuch, po czym przeniósł wzrok na dziecko, które cicho pojękiwało. - Może skończy pani badanie i jednak postawi diagnozę.

Odszedł na bok, ona zaś zagryzła wargi ze zdenerwowania. W tak ograniczonej przestrzeni trudno było stanąć naprawdę daleko od niego, toteż próbowała się bronić, narzucając sobie sztywny profesjonalizm. Jill mruknęła jakieś usprawiedliwienie i zniknęła, Kate zaś wyjęła stetoskop z kieszeni i dokładnie osłuchiwała dziecko. W końcu wyprostowała się, podniosła głowę i napotkała spojrzenie Sama.

- Według mnie, objawy są klasyczne. Ma ostrą anemię i zarówno śledziona, jak i wątroba są powiększone.

Sam kiwnął głową, lecz zachował milczenie.

- I... skoro ma tak długo gorączkę, na pewno miał drgawki. Sam nadal milczał, Kate zaś zdusiła w sobie lekkie uczucie niechęci. Odniosła wrażenie, że jest poddawana próbie.

- Na pewno ma bronchit i częste biegunki.

- Jakie twoim zdaniem są rokowania?

- Niezbyt dobre.

Na jego twarzy pojawił się wyraz frustracji.

- Ja bym nie był taki łagodny i powiedział, że są okropne. Nawet jeśli z tego wyjdzie, pozostanie trwale uszkodzenie mózgu, zapewne jakaś ułomność psychiczna i paraliż co najmniej jednej kończyny. - Rozłożył bezradnym gestem ręce. - Coś takiego już nie powinno się zdarzać, a jednak... Widzę takie dzieci dzień po dniu i nic nie mogę zrobić!

- Myślę, że robisz wszystko, co można.

- Ale to nie wystarcza, prawda? - Wykrzywił gorzko usta. - W dzisiejszych czasach malaria powinna być chorobą przeszłości, a jednak zachorowania osiągają niespotykaną skalę. Czasem odnoszę wrażenie, że toczę walkę, której nigdy nie wygram. Wszystko, co tu mamy, jest albo przestarzałe, albo się rozlatuje, a my jesteśmy dumni, że w ogóle coś mamy.

Kate przypomniała sobie nowoczesny, znakomicie wyposażony szpital, w którym odbywała praktykę.

- Nie zdawałam sobie sprawy... - Zebrała się na odwagę.

- Zgadza się, to niesprawiedliwe, ale jeśli naprawdę uważasz, że ta praca to strata czasu, to dlaczego tu siedzisz?

Jego oczy zabłyśły.

- Bo może któregoś lepszego dnia pomyślę jak ostatni dureń, że coś osiągnąłem. A może dlatego, że nie znam drugiego takiego durnia, który przejąłby to po mnie.

Obdarzył ją lekkim uśmiechem i Kate zabrakło tchu.

- To wszystko jednak nie mówi, co zrobić z tym dzieckiem

- powiedziała odważnie. - Widzę, że dostaje chlorochinę.

- Ale to chyba nie działa. W przypadku Bena wydaje się, że zarazki wygrywiają.

- No więc co? Chyba się nie poddamy?

- Nie - odparł spokojnie. - Mam zamiar zacząć mu podawać mieszankę pirymetaminy z sulfadoksyną. Przywiozłem nowy zapas razem ze szczepionkami.

Odetchnęła z ulgą i nagle odniosła wrażenie, iż zmęczenie wywołane zmianą czasu, z którym walczyła, mści się na niej po raz drugi. Zachwiała się i potarła ręką czoło. Jej skórę pokryły drobne kropelki potu.

- Cieszę się - wykrztusiła.

- My się nie poddamy, doktor Stewart, lecz następny lek nie stanowi żadnej gwarancji.

- Może i nie, ale lepsze to niż nic...

Była na pół świadoma, że Sam poprawia zasłony przy łóżku i wyprowadza ją pod rękę na dwór. Zapadał już zmierzch i Kate z radością powitała słaby wietrzyk. Uwolniła się z uścisku Sama i oparła o balustradę.

- Proszę, nie rób tego błędu i nie angażuj się emocjonalnie. Będziesz cierpieć.

Poczuła, że robi jej się gorąco.

- Czy zawsze jesteś taki cyniczny?

- Jestem realistą. Ben to tylko jeden przypadek.

- Ale to dziecko.

Chwycił ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. Była świadoma, że miotają ją sprzeczne uczucia, i bezradnie spojrzała mu w oczy.

- Dzieci są całe miliony, a każdego dnia umierają ich setki - powiedział twardo. - Nie podoba mi się to, ale jestem realistą. Lekarstw, które otrzyma Ben, nie dostaną inne dzieci, bo te lekarstwa są za drogie. Kiedy się skończą, to ich po prostu nie będzie.

- Nie można zamówić więcej?

- A czy sądzisz, że nie zrobiłbym tego, gdyby było można? Nikt nam nie podpisze czeku in blanco. Funkcjonujemy dzięki niewielkiemu funduszowi i darom instytucji charytatywnych, a nie tylko my czekamy na pomoc.

- Więc wszystko zależy tylko od pieniędzy? - spytała wstrząśnięta.

- Może nie wszystko? Może któregoś dnia to się zmieni? Musimy jakoś przetrwać. - Spojrzał na nią badawczo. - Uwierz mi, przyzwyczajasz się.

Oddechnęła głęboko i spojrzała na jego napiętą twarz, osaczona nagłym i przytłaczającym uczuciem żalu.

- Mam nadzieję, że nie - odparła z oburzeniem. - Niech mnie Pan Bóg broni, żebym przyjęła twój punkt widzenia. Masz w sercu lód. Ja nie potrafię tak po prostu zignorować tego, co się tu dzieje.

- Nauczysz się. Będziesz musiała. Gdybyśmy nawet pracowali codziennie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, kolejka pacjentów się nie zmniejszy. A jeśli chodzi o ten lód - spojrzał na nią zwięzonymi oczami - to może powinienem o czymś cię przekonać? Nie chciałbym, żebyś żywiła jakieś złudzenia.

Ujął mocno jej dłoń, mimo że instynktownie spróbowała się odsunąć. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zacząć walczyć, szybko pojęła jednak, że nie odniesie to żadnego skutku. Sam zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy, widząc jego usta tuż przy swoich i czując zapach jego skóry.

Szarpnęła się, gdy ją pocałował, boleśnie świadoma gry swoich zmysłów, które obudziły się nagle z uśpienia. Potem jej ciało bezwiednie

uległo - nie na długo jednak, bo gdy uniosła powieki i ujrzała wpatrzone w siebie, niewiarygodnie niebieskie oczy, przeraziła się tym razem na dobre i postanowiła rozpocząć walkę. Jej mężczyzną jest Jeremy, więc jakim cudem ten...

- Dlaczego? - spytała, odpychając go.

- Bo nie chciałbym pani rozczarować, pani doktor. Jestem takim samym mężczyzną jak inni i radziłbym o tym pamiętać. Nigdy nikogo nie oskarżaj, jeśli nie masz dowodu, Kate. A teraz radziłbym się przespać - dodał. - Jesteś naprawdę zmęczona.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając ją własnym myślom. Przyłożyła rękę do skroni. Czuła się zdruzgotana, usta ją piekły, włosy drażniły skórę. Dużo słyszała o niebezpieczeństwach życia w dzikiej Afryce, nikt jednak nie ostrzegł jej, że zagrożenie może być tak banalne!

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Choć się tego nie spodziewała, po raz pierwszy od kilku miesięcy zasnęła głębokim snem. Obudziła się rano świeża i wypoczęta. Tym razem nie nękały jej wspomnienia o Jeremym, które przyprawiały ją o niepokój i wyczerpanie i powodowały, że nie miała pojęcia, jak przetrwa do wieczora.

Nic się jej nie śniło, ocknęła się jednak z niejasną świadomością, że wieczorem zdarzyło się coś przyjemnego. Leżała nieruchomo, przysłuchując się niesamowitym odgłosom wydawanym przez zwierzęta i owady.

Afrykański dzień budził się do życia.

Nagle wszystko jak żywe stanęło jej przed oczami. Usiadła gwałtownie na łóżku i poczuła, że robi jej się gorąco. Sam Brady! Niczego nawet nie próbował udawać!

No tak, tutaj każdy chłop zamienia się w drapieznika, pomyślała złośliwie, chwytając ręcznik i biegnąc do łazienki. Chłodna woda otrzeźwiła ją do reszty. No cóż, trzeba mu odpłacić pięknym za nadobne, uznała i szybko się wytarła. Ciekawe, jak by to było mieć takiego za męża?

Otrząsnęła się z niepokojem. Chyba lepiej w ten sposób o nim nie myśleć, żeby oszczędzić sobie bólu odrzucenia, a poza tym on przecież może być żonaty.

Włożyła dzinsową spódniczkę i białą bluzkę z krótkimi rękawami i wyszła na werandę. Ostatnie dni przeżyła jak we śnie, teraz jednak rzeczywistość uderzyła ją ze zdwojoną siłą i z podziwem spojrzała na otaczający ją świat.

Powietrze było jeszcze chłodne, nawet rześkie. Wypiła wyb» ko filiżankę kawy i pobiegła do przychodni.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nie spóźniłaś się - rzekła Jill z uśmiechem, myjąc ręce przed przygotowaniem wózka z instrumentami. - Nikt się ciebie nie spodziewał przed południem. Powinnaś była trochę poleżeć.

- Trudno się odzwyczaić od starych przyzwyczajzeń. W czasach studenckich nawet we śnie robiłam obchód. - Spojrzała na listę wręczoną jej przez Jill. - Coś podobnego! Zupełnie jakby cała Afryka tu przywędrowała.

- Dziś nie jest najgorzej - pocieszyła ją Jill. - Ale się nie przejmuj. W przychodni mamy zawsze najwięcej roboty.

A nie ma to jak rzucić kogoś na głęboką wodę, prawda, Sam?

- powiedziała w myślach i włożyła lekarski fartuch.

- Możemy zacząć - rzekła głośno.

Zerkając na małą tacę podstawowych leków i opatrunków, jakie miała do dyspozycji, zdławiła uczucie depresji i usiadła przy wysłużonym stole, czekając na przybycie pierwszego pacjenta.

Przyjmując nie kończący się strumień chorych, Kate kilkakrotnie tego ranka czuła wdzięczność dla Jill i Nziku Mitop, tanzańskiej pielęgniarki, która nie tylko wprowadzała i wyprowadzała pacjentów, lecz także służyła za tłumaczkę.

Wśród chorych był mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Gdy zgarbiony usiadł na kozetce, Kate osłuchiwała go i powiedziała:

- Może się teraz położyć. - Nziku pomogła mu oprzeć się o poduszki. Mężczyzna drżał, miał lepką skórę i płytki oddech.

- Ma gorączkę?

- Trzydzieści osiem i pięć - odparła Jill.

- Hm. - Kate spojrzała na Nziku. - Spytaj go, czy go boli przy oddychaniu. - Mężczyzna skinął głową, przykładając dłoń do piersi. Kate spojrzała na jego kartę. - Widzę, że kaszle krwią. Od jak dawna?

- To trudno ustalić.

Gdy badała jego podbrzusze, wyraźnie się skrzywił.

- Tu też go boli. I ma straszną niedowagę.

Wyjęła stetoskop i uważnie osłuchiwała klatkę piersiową.

- Zapalenie płuc - orzekła.

- Przyjmujemy go?

- Chyba tak. Przynajmniej na kilka dni. Musimy obniżyć gorączkę i podać mu antybiotyki. - Wpisała zalecenia do karty.

- A także dużo picia.

Nziku przetłumaczyła jej słowa pacjentowi. Ten pokiwał głową i z pomocą pielęgniarki poszedł do głównego budynku szpitala. Myjąc ręce w małej, popękanej miednicy, Kate spytała zamyślona:

- Czy nie wydaje ci się czasem, że toczysz przegraną walkę? Większość tych ludzi czeka marny los. Nędzne jedzenie, okropne warunki życia...

- Musisz sobie powtarzać, że kiedyś wszystko się zmieni

- odparła Jill spokojnie.

- Nawet urodzony optymista miałby z tym kłopoty. - Kate uśmiechnęła się sceptycznie, przyciskając wilgotne dłonie do rozpalonych policzków. - Kto jest następny?

Uśmiechnęła się zyczliwie do pacjentki, którą prowadzono do kozetki. Kobieta nawet nie próbowała odwzajemnić uśmiechu. Mesianto Mengoru mogła mieć od czterdziestu do sześćdziesięciu lat, był niska i strasznie

wychudzona. Siadła bezwładnie na kozetce, przymknęła oczy i automatycznym gestem przesunęła dłonią po twarzy.

- Co jej jest? - spytała Kate.

Kobieta przycisnęła pięść do klatki piersiowej i uczyniła kilka słabych ruchów, imitujących bicie serca.

- Mówi, że za szybko bije - wyjaśniła Nziku. - Nie może już chodzić po wodę. Musi prosić o to synową.

Kate przyłożyła stetoskop do skóry kobiety i ze zmarszczonym czołem wysłuchiwała powolnego bicia powiększonego mięśnia sercowego.

- Czy ma bóle?

W odpowiedzi kobieta ospałym ruchem wskazała na nogi i potarła dłońmi po ich pergaminowej skórze.

- Mówi, że ją kłuje - przetłumaczyła Nziku.

- To znaczy, że czuje mrowienie? - dociekała Kate.

- Chyba tak.

Kobieta odezwała się znowu, szczypiąc nogę.

- Mówi, że nie ma w niej czucia.

- Lepiej to obejrzę. - Kate uklękła i delikatnie obmacała spuchnięte kończyny. - Tu jest wyraźny obrzęk. I tu też. - Podniosła się i obejrzała twarz kobiety. - Czy mamy historię jej choroby? Dobrze by było wiedzieć, kiedy się to zaczęło, choć jeśli przebieg był powolny, mogła nie zwrócić uwagi na początki.

Jill przejrzała kartotekę i potrząsnęła głową.

- Chyba synowa przywiozła ją do szpitala. Czy Nziku ma z nią porozmawiać?

Kate delikatnie przesunęła dłonią po skórze kobiety. Była chłodna i lepka.

- Tak. Musimy jej wyjaśnić, na czym ma polegać leczenie. Moim zdaniem, mamy tu do czynienia z klasycznym niedoborem witamin.

Kate usiadła przy biurku i wpisała do karty notatkę, spoglądając na tacę z lekami.

- Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli, na ile ta choroba jest zaawansowana. Jestem pewna, że serce jest powiększone, co może prowadzić do niewydolności.

- Co możemy zrobić?

- Reakcja na leczenie jest zazwyczaj szybka i pozytywna. Czy możesz jej to powiedzieć?

Nziku rozmawiała z kobietą, trzymając ją za rękę.

- Mówi, że ma do pomocy tylko synową, a ona jest leniwa.

- No cóż - Kate ze współczuciem pokiwała głową - obawiam się, że w tym przypadku taka pomoc jest lepsza niż żadna. Potrzebny jej jest całkowity wypoczynek. Całkowity - powtórzyła. - Przepiszę jej tiaminę, pięćdziesiąt miligramów. Domięśniowo. - Spojrzała na Jill. - Przyjmiemy ją do szpitala na trzy dni i zaczniemy natychmiast. Potem tabletki trzy razy dziennie, po dziesięć miligramów. Ma do mnie przyjść za miesiąc. Powinna być w znacznie lepszym stanie.

Przez resztę poranka pracowały bez wytchnienia. W południe upał zrobił się nie do wytrzymania. Mały wiatraczek nie dawał chłodu; raczej mieszał gorące powietrze, zamiast przynosić ulgę. Kate czuła, że wilgotnieją jej włosy. Były związane, lecz ich ciężar zdawał się powodować ból głowy.

- Pora na lunch - oznajmiła Jill.

- Ale mamy jeszcze kolejkę na pół kilometra.

- Kiedy wrócimy, nie będzie krótsza. - Jill uśmiechnęła się smętnie. - Kolejka jest zawsze. Musisz nauczyć się odpoczywać, dawkować siły. Chodź. - Otworzyła drzwi. - Zobaczmy, jakie to kulinarne cuda nam dzisiaj przygotowano. A poza tym powinnaś jeszcze kogoś poznać.

Kiedy weszły do nieco chłodniejszej, zacienionej jadalni dla personelu, Jill skierowała swe kroki w kierunku Grega, który właśnie nalewał kawę.

- Och, błagam, nie przestawaj. Czarna i trzy łyżeczki cukru. Spojrzał na nie z uśmiechem.

- Właśnie się zastanawiałem, czy nie zacząć was szukać. Masz, dobrze ci to zrobi. - Wręczył Kate filiżankę. - I jak?

- Opowiem ci, kiedy otrząsnę się z szoku. - Kate zsunęła buty i opadła na krzesło. - O, jak dobrze...

- Więc było aż tak źle?

- No, jest to pewne przeżycie. - Wciągając aromatyczne zapachy w nozdrza, Kate wstała, by obejrzeć miski z jedzeniem, schowane pod pokrywami z siatki. - Nie wiedziałam, że jestem aż tak głodna - powiedziała i zauważyła, że do jadalni ktoś wchodzi.

- Cześć, Sanje - zawołała Jill. - Poznaj Kate Stewart. Kate, to Sanje Daliwhal, specjalista ortopeda, ale podobno zna się na wszystkim.

Ciemne oczy Hindusa zabłysły, gdy podał Kate dłoń. Był wysoki, miał około czterdziestu lat, zaś jego ostre rysy łagodził w tej chwili uśmiech.

- Witamy w Ramindi. Ciekawe, co też pani o nas sądzi?

- Witam, doktorze Daliwhal - rzekła Kate, czując mocny uścisk jego kościstej dłoni.

- O nie, wszyscy nazywają mnie Sanje.

- Wobec tego proszę mówić do mnie Kate.

- Przykro mi, że mnie nie było, kiedy przyjechałaś.
 - Prawdę powiedziawszy, nawet bym nie zauważyła, gdybyś był - odparła ze śmiechem. - Byłam nieco oszołomiona, łagodnie mówiąc. Od kiedy tu jesteś?

- Od sześciu miesięcy. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Ale czasami myślę, że znacznie dłużej.

- Sanje był na stażu w Delhi - wyjaśniła Jill, nakładając na talerz sałatkę.
 - Mówię ci to, bo on jest za skromny, żeby się do tego przyznać.

- Ależ ona się rządzi - mruknął Sanje.

- A przedtem był na dwuletniej praktyce w Anglii - dodała Jill, obrzucając go pełnym wyższości spojrzeniem.

- Naprawdę? - spytała Kate. - I jak ci się podobało? Roześmiał się.

- To było bardzo cenne doświadczenie.

- Jestem pewna - rzekła Kate z zapalem. - Mój ojciec jest internistą i czasem mu pomagałam. Raz przez miesiąc pracowałam w zastępstwie i wiem, jakie tam może być piekło. Kawy?

Właśnie podniosła do góry dzbanek i podawała mu filiżankę, kiedy wszedł Sam. Jego przystojną twarz wykrzywił grymas zniechęcenia.

- Spędzam ostatnio więcej czasu przy papierkach niż przy robocie, za którą mi płacą - jęknął i skrzywił się jeszcze bardziej. - Skoro już pełnisz tu honory domu, Kate, podaj mi, kawę. Bez cukru.

Poczuła lekkie pulsowanie w skroniach, gdy napełniała jego filiżankę, marząc, by ręce przestały jej się trząść. Gdy mu ją podała, ich palce się spotkały i jej ręka zadrżała jeszcze bardziej. Odrobina kawy wylała się na spodeczek.

Miał na sobie sprane dżinsy i białą koszulę. Kate umknęła wzrokiem w bok, ujrawszy ironiczne rozbawienie w jego oczach. Poczuła zapach płynu po goleniu - i zapach zagrożenia. Zupełnie nie potrafiła tego zrozumieć.

- Dobrze spałaś? - spytał.

- Znakomicie, dziękuję. - Kilka razy odetchnęła głęboko, mając nadzieję, że rumieńce na jej policzkach Sam złoży na karb gorącej kawy, którą zaczęła pić. - Jak dzisiaj czuje się Ben?

- Chyba trochę lepiej. - Stłumił ziewnięcie. - Widziałem go przed godziną.

- Bardzo się cieszę.

- Nie twierdzę, że najgorsze ma już za sobą, ale po raz pierwszy widzę tak wyraźną poprawę. Może niedługo wyślemy go do jego wioski?

- Chyba jesteś zadowolony.

- Z doświadczenia wiem, że nie należy liczyć gruszek na wierzbie. - Przeniósł wzrok na Grega. - Jak tam w szpitalu?

- Jako tako. - Greg odchylił się nieco na krześle, zakładając ręce za głowę i po chwili wracając do poprzedniej pozycji. - Obawiam się, że mogę tam utknąć na całe popołudnie. Mamy mnóstwo ciężarnych matek. Wszystkie mają w najbliższym tygodniu rodzić. Chyba długo stamtąd nie wyjdę.

- A niech to! - mruknął Sam, pocierając czoło. - Myślałem, że uda się nam wreszcie pojechać do Mkesi. Jesteśmy do tyłu ze szczepieniami. Nie można by tych porodów jakoś przyspieszyć?

Greg zrobił sceptyczną minę.

- Chyba nie. Co najmniej w dwóch przypadkach przewiduję komplikacje. Nie możesz połowy szczepień przeprowadzić dzisiaj, a reszty w następnym miesiącu?

- Wolałbym mieć to za sobą - odparł Sam ze zmarszczonym czołem. - Podobno z północy nadciąga paskudna epidemia odry. Wiesz, jak ta zaraza szybko się przenosi. Jest niebezpieczna zwłaszcza dla dzieci. - Potrząsnął z niezadowolaniem głową. - Obaj jesteśmy potrzebni.

Greg dokończył kawę, podniósł do góry ręce i wstał.

- Przepraszam, ale nic na to nie poradzę. Muszę być w sali operacyjnej za pół godziny, a potem ktoś musi zrobić obchód. Weź Kate, dobrze?

Kate zrobiła niepewną minę.

- Chętaie pomogę, ale...

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odparł Sam z wyraźną dezaprobatają.

- Przecież prędzej czy później ona i tak musi się w tym wszystkim zorientować - rzekł Greg. - Może lepiej zacząć już teraz?

Kate głęboko odetchnęła.

- Co to jest to Mkesi?

- To jedna z większych osad - odparł Greg. - Zwykle jeździmy tam co miesiąc. Chyba ci się spodoba.

- To nie jest takie proste - zaczął Sam.

- Och, Sam, daj dziewczynie szansę - przerwał mu Greg. - Przecież ciągle powtarzasz, że wszyscy musimy umieć robić wszystko.

Nie chce, żebym z nim jechała, pomyślała Kate, czując pulsowanie w skroniach i lzy gromadzące się pod powiekami. Mimo to dzielnie powiedziała:

- Dajcie mi znać, kiedy będę potrzebna.

- Nie posądzam cię o brak kwalifikacji. - Głos Sama był ostry. - To jest po prostu bardzo długa wyprawa. A poza tym minęło mnóstwo czasu, zanim

ci ludzie nas zaakceptowali. Obecność obcych bardzo ich peszy, zwłaszcza dzieci.

- Rozumiem. Więc może innym razem...

Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

- Powody nie są osobiste.

- Tak.

- Zresztą może Greg ma rację... - Czoło Sama przecięła pionowa zmarszczka. - Będzie to dla ciebie niezłe doświadczenie, a ja potrzebuję pomocy. - Spojrzał na zegarek. - Przygotuj się. Musimy zabrać strzykawki, szczepionki, antybiotyki o szerokim spektrum działania. Aha, koniecznie weź kapelusz i włóż spodnie. Ruszamy za godzinę.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się, próbując ukryć podniecenie. - I dzie... - Lecz on już zniknął za drzwiami. - Tak, proszę pana. Nie, proszę pana - mruzczała do siebie ze złością. - Ile ja mam tego wziąć?

Pograżona w myślach zapomniała, że nie jest sama, toteż drgnęła zdumiona, gdy Greg włożył jej do ręki szklanekę soku.

- No, wypij i odetchnij głęboko. On ma po prostu taki sposób bycia.

- Przepraszam... - Ocknęła się. - Co mówisz?

- Nie bierz sobie tego do serca. Sam nie jest taki groźny.

- Uśmiechnęła się z powątpiewaniem na jego słowa. - Daj spokój, Kate. On jest za wiele rzeczy odpowiedzialny i pewnie martwi się tym, że od pierwszego dnia zrzuca aż tyle na twoje barki. Trzeba trochę czasu, żeby się przystosować.

- Jemu? - spytała z gorzkim uśmiechem.

- Słuchaj, ta praca naprawdę nie jest łatwa.

- Wyobrażam sobie... - mruknęła i postanowiła rzucić wszystko na jedną szalę. - Jego żonie i rodzinie na pewno nie jest lekko, prawda?

Greg spojrział na nią z rozbawieniem.

- Rzeczywiście, słyszałem, że Sara jest osobą kategorię. A więc jest żonaty!

- Myślę, że okresy rozstania są bardzo szczególne. Wiele małżeństw pracuje teraz w różnych miejscach. Nie sądzę, żeby w ogóle łatwo było się do tego przyzwyczaić.

Greg wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nie miałem zaszczytu poznać tej pani, ale coś mi się wydaje, że nie podzieliłaby twoich poglądów.

- Nie rozumiem...

- Nie znam szczegółów, ale od George'a słyszałem, że nie była Penelopą. W każdym razie Sam dostał kiedyś kilka dni urlopu, pojechał do domu i stwierdził, że się wyprowadziła. Rozwiedli się pół roku później.

Kate poczuła, jak ogarnia ją zupełnie bezsensowna fala ulgi. A więc Sam jest wolny? Tylko czy z tego coś wynika?

Upał był nieznośny. Powietrze wokół aż drżało. Kate siedziała przy otwartym oknie land rovera i z całej siły trzymała się drzwi, by nie ucierpieć zbyt wiele na wybojach.

Usta Sama drgnęły w złośliwym uśmiešku.

- W porządku? - spytał.

- Oczywiście. - Odpowiedziała mu równie złośliwym uśmiechem i ukradkiem potarła bolące miejsce na łokciu. Do Mkesi dojedzie zapewne cała posiniaczona, a on będzie miał używanie! Zaciśnęła jednak zęby i rzuciła: - Mówiłeś, że to wizyta okresowa?

- Greg i ja staramy się odwiedzać najdalsze osady co najmniej raz w miesiącu.

- A jeśli pod waszą nieobecność zdarzy się coś poważnego?

- Przesyłają nam wiadomość. Niektóre wioski mają połączenia radiowe.

- A jeśli trzeba operować?

- Robimy, co możemy. Nikt nie powiedział, że świat jest idealny.

Spojrzała na niego uważnie. To niesprawiedliwe, pomyślała, żeby ktoś tak znakomicie znosił upał. Sam patrzył prosto przed siebie, starając się nie wypaść z drogi. Gdy niespodziewanie zwrócił w jej stronę głowę, ujrzała jego pełne rozbawienia oczy i z przerażeniem zobaczyła, że wyciąga w jej kierunku rękę. Przynęła się do drzwi, on tymczasem wyjął z jej włosów muchę i znów skoncentrował uwagę na prowadzeniu.

- Oj, panno Stewart, zapomniała pani o płynie przeciwko insektom. - Odetchnęła z ulgą, gdy kilka sekund później wskazał coś ręką i rzekł: - Osada. Za pięć minut tam będziemy.

Poczuła miły dreszczyk podniecenia. Wyteżęła wzrok, żeby coś dojrzeć między drzewami, gdy niespodziewanie wjechali na dużą polanę, za którą widniały odległe wzniesienia masywu Wielkich Rowów Afrykańskich.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Chyba czeka na nas komitet powitalny.

Gdy samochód zahamował zet zgrzytem na piaszczystej drodze, otoczyły go roześmiane dzieci w różnym wieku. Machały rękami i wyciągały je, by dotknąć dłoni i ubrań przybyszów.

- Ntanin, ale urosłeś! - Sam wyskoczył z land rovera i mocno uściśnął rękę kilkunastoletniego chłopca.

Kiedy Kate wysiadła, dzieciarnia oblepiła samochód i patrzyła na nią niepewnie.

- Cześć - rzekła z uśmiechem do kilkuletniego malca, który wcisnął do jej ręki piąstkę i przytulił się do niej. - Jak ci na imię?

- To Daniel - rzekł Sam, podchodząc bliżej. Na ramionach niósł małą dziewczynkę, która ze śmiechem trzymała się jego włosów. - Rozładujmy samochód. Im prędzej zaczniemy, tym wcześniej wrócimy.

Opuścił dziewczynkę na ziemię, pocałował ją w nos i szepnął jej do ucha coś, co wywołało nieśmiały chichot, po czym mała umknęła do towarzyszy.

- To twoja ulubienica? - spytała Kate z uśmiechem.

- Kto wie... Człowiek z tym zawsze walczy, ale jeśli się ma do kogoś słabość... Suzi jest przypadkiem specjalnym. Nie widać tego, ale jest nosicielką wirusa HIV. Jej ojciec zmarł na AIDS pół roku temu, matka zapewne nie dociągnie do żniw, a Suzi... - Zaciśnął usta, po czym dodał: - Chyba nie muszę tego mówić.

- Ten problem jest chyba coraz poważniejszy? Wręczył jej jedno z pudeł.

- Chciałem powiedzieć, że się do tego przyzwyczaisz, ale to nieprawda. Z tym trzeba coś zrobić. Czasem po prostu trzeba się od tego wszystkiego odgradzić, bo inaczej nie sposób funkcjonować.

- Ale Suzi wygląda tak dobrze, jest taka szczęśliwa...

- Cóż, taka jest natura tej choroby. Będziemy jak najdłużej utrzymywać Suzi w formie, ale nie możemy jej wyleczyć. - Wyprostował się, umieszczając duże pudło na ramieniu. - Każdy przypadek jest tu straszny. Chodźmy, rozłożymy się przed tą chatą. Widzę tam przynajmniej odrobinę cienia.

Szła za nim, patrząc, jak po drodze przystaje i rozmawia z wieśniakami, i zrozumiała, że znalazł się w swoim żywiole.

- Nie masz żadnego problemu z porozumiewaniem się z nimi - oznajmiła ze smętnym uśmiechem. - A co ja mam zrobić? Obawiam się, że język migowy działa tylko do pewnego stopnia.

Sam wezwał gestem młodą kobietę, która nieśmiało im się przypatrywała.

- To Mary Oleit. Ma szesnaście lat i mówi trochę po angielsku. Chce jechać do miasta i zostać pielęgniarką. Mary! - zawołał z uśmiechem. - Poznaj doktor Stewart.

Dziewczyna uśmiechnęła się na powitanie.

- Cześć, Mary. Potrzebne nam są pielęgniarki. Chyba będziemy mieć pracowity dzień, więc zaczynamy.

Obserwowana uważnie przez grupę nagich dzieciaków, Kate rozłożyła w cieniu stół, a na nim medykamenty. Po chwili wahania dołożyła wyjętą z torby paczkę kolorowych cukierków, które zabrała w tajemnicy.

- A to co, pani doktor? - spytał Sam. - Korupcja?

- Większość tych dzieci na pewno nie spróbowała jeszcze cukierków. Dlaczego odmawiać im odrobiny przyjemności? Czy zaraz mi powiesz, że to przeciwko regulaminowi?

Kiedy pomyślała, że jest chyba zły, włożył rękę do kieszeni i wyjął podobną torebkę.

- Z lukrecją. Ja bardzo je lubię.

Spojrzeni sobie w oczy i uśmiechnęli się do siebie. Nie do wiary, pomyślała Kate, czując się w jego towarzystwie trochę lepiej. Było w tym człowieku coś silnego i niezawodnego, co sprawiało, że ludzie poszliby za nim w ogień. Zastanawiała się, czy on o tym wie, i nagle bezsensownie poczuła, że zazdrości każdej kobiecie, która z nim była.

A tymczasem przed nimi zaczęła ustawiać się kolejka i już po kilku minutach Kate uśmiechała się do swego pierwszego pacjenta, czternastoletniego chłopca ubranego w bawełnianą szatę związaną na jednym ramieniu. Usiadł na rozłożonym krzeselku, wyciągnął nogę i Kate ujrzała duży, ropiejący wrzód. Krawędzie rany były silnie zaognione i chłopiec naprężył się, gdy jej palce w rękawiczkach chirurgicznych zbliżyły się za blisko chorego miejsca.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie boli - odparł drżącymi wargami.

Nie była to prawda, lecz uszanowała jego potrzebę okazania odwagi przed grupą czekających pobratymców.

- Czy zraniłeś się w nogę?

- Może. - Wzruszył ramionami.

Spojrzała na Sama, który przygotowywał opatrunek.

- Wygląda paskudnie - powiedział.

- Tak - przyznała i jeszcze raz zbadała bolące miejsce - ale chyba infekcja ogranicza się do powięzi. Ścięgno i naczynia krwionośne nie są naruszone.

- Pewnie futbol.

- Co? - Spojrzała na Sama, nie rozumiejąc.

- Futbol. To ich ulubiona gra. Trochę ich przy tym ponosi.

- Och - mruknęła. - Zawsze dobrze jest wiedzieć, z czym się ma do czynienia. Życie staje się wtedy prostsze.

Oczyściła ranę hipertonicznym roztworem siarczanu magnezowego i do małej buteleczki wsypała odpowiednią dawkę penicyliny prokainowej.

- Bierz jedną tabletkę trzy razy dziennie - rzekła powoli. -I nie zdejmuj opatrunku, zanim - musiała podnieść głos, bo chłopak już zmykał - rana się zagoi! Och, jak to miło, gdy człowieka doceniają.

Wiele razy podczas tego popołudnia miała powody, by okazać wdzięczność Mary Oleit, która pomagała jej i tłumaczyła. I wiele razy musiała ocierać z czoła pot, choć nic nie mogła zrobić z pyłem oblepiającym jej ciało.

Tym razem dziecko siedzące na krzeselku miało sześć lat, choć wyglądało na mniej. Gdy Kate je osłuchiwała, poczuła dławienie w gardle, dziewczynka zaś patrzyła na nią z ciekawością, wycierając jednocześnie ręką nos. Kate uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Ona nie jest w dobrym stanie, prawda? Mary potrząsnęła głową.

- Przyjechała do Mkési dwa tygodnie temu ledwo żywa.

- Tak... - Kate zmarszczyła czoło. - Ma dużą niedowagę. - Delikatnie dotknęła pergaminowej skóry dziecka. - Gdzie są rodzice?

- Nie wiemy. Do wioski przywiózł ją wuj, którego siostra tu mieszka. Matka małej umarła, a ojciec poszedł do miasta szukać pracy. Mówił, że wróci, ale... A wuj mówi, że nie może trzymać dziecka, które nie widzi. Na nic mu się nie przyda.

Tłumiąc uczucie gniewu, Kate sięgnęła po oftalmoskop i zbadała oczy dziewczynki. Na spojówkach obu oczu widniały białe, spienione plamy, powodujące, że białka stawały się suche i podrażnione.

- Mogę obejrzeć? - spytał Sam.

- Proszę. Wydaje mi się, że o tym czytałam, ale widzę to po raz pierwszy.

Zbadawszy dziecko, wstał i powiedział:

- Moim zdaniem to kseroftalmia, choroba oczu polegająca na wysychaniu spojówki i rogówki. Najczęściej występuje w Indiach i Indonezji, gdzie jada się głównie ryż i inne ubogie w witaminy produkty. Ale spotyka się ją także w Afryce i Ameryce Łacińskiej.

- A więc wywołuje ją brak witamin?
 - Zwłaszcza witaminy A - odparł - oraz bieda. - Skrzywił usta w grymasie niechęci. - To nie jest choroba bogatych ludzi i nie zapadają na nią dzieci karmione piersią. Zaczyna się wtedy, kiedy dziecko odżywiane jest głównie ryżem czy kleikiem.

- Co byś sugerował oprócz rzeczy oczywistych, czyli jajek, mleka i ryb?
 - Całe szczęście, że ta mała dotarła do nas w porę. Inaczej rogówka zostałaby zniszczona, a to oznacza ślepotę.

- A więc zaczniemy od witaminy A.
 - Owszem, i to w tabletkach, a nie domięśniowo. - Gdy się zdziwiła, dodał: — Dwa tysiące jednostek podanych doustnie w ciągu dwóch dni na razie wystarczy, chyba że zostaniesz tu na noc, żeby robić zastrzyki. Tabletki możemy zostawić komuś dorosłemu. Za dwa tygodnie podamy trzecią dawkę i miejmy nadzieję, że w połączeniu z odpowiednią dietą stan tej małej się poprawi.

- Dzięki. - Oczy Kate błysnęły wdzięcznością.
 - Cała przyjemność po mojej stronie.

Na krześle Sama siedziała już inna dziewczynką. Sam pogłaskał ją po włosach, zbadał, pocałował w czubek głowy, wziął na ręce i postawił na ziemi.

- Całkiem nieźle - poinformował zaniepokojoną matkę, która nie wyglądała na więcej niż osiemnaście lat. - Proszę jej dalej podawać antybiotyki. Wrzód goi się dobrze. I nie zapomnijcie o tym.

Dziewczynka z nieśmiałym uśmiechem sięgnęła po kule i odeszła, prowadzona przez matkę. Dopiero po chwili Kate zauważyła, że jedna noga dziecka jest sztywna.

- Heinemedina?
 - Tak, ale ta mała i tak ma szczęście. Znam gorsze przypadki - odparł ponuro. - W Indiach widziałem dzieci, które mogły się poruszać jedynie na czworakach. I cały dramat polega na tym, że można było temu zapobiec jednym szczepieniem.

- Więc wszystko, co robimy, to kropla w morzu potrzeb? Czy to nie jest bez sensu?

- Nie. Sporo się już zmieniło. Może do pełnego sukcesu brakuje dziesięciu lub dwudziestu lat, ale w końcu pomożemy tym ludziom.

- Chciałabym podzielać twój optymizm.
 - Jesteś zmęczona, to wszystko. Zasłużyłaś sobie na chwilę przerwy.

Potrząsnęła głową i natychmiast tego pożałowała, bo poczuła zawroty głowy. Bezwiednym gestem dotknęła ręką czoła.

- Co ci jest? — spytał zaniepokojony.
 - Nie, nie, nic... - Zwilżyła wargi. - To chyba przez ten upał. W jej wyobraźni pojawił się obraz prysznicza i wypływającej z niego letniej wody, lecz natychmiast zniknął, gdy zauważyła, że Sam uważnie na nią patrzy.

- Nic mi nie jest - powiedziała dzielnie. - Nie potrzebuję przerwy.
 - Chyba jednak tak. - W jego głosie brzmiała troska. - Pracujesz bez wytchnienia od chwili przyjazdu, a poza tym nie miałaś czasu na aklimatyzację. W samochodzie jest butelka soku. Idź tam i chwilę odpocznij, a ja tu skończę.

- Nie, nie - odparła nieco drżącym głosem. - Zostanę. Im szybciej skończymy, tym szybciej wrócimy do domu.

- I tym szybciej pozbędziesz się mojego towarzystwa? - spytał z żartobliwym uśmiechem. - Czy naprawdę jestem aż takim potworem?

- Przecież tego nie powiedziałam - odparła gwałtownie.

- Ale to wszystko masz wypisane na twarzy.

Poczuła się nieswojo. Co jest w tym człowieku, że wprawia ją w takie zdenerwowanie?

- Nie chcę przerwy - oznajmiła zdecydowanie. - A poza tym mamy już tylko kilku pacjentów.

Odwróciła się od niego, znowu zwilżając usta, i drżącymi rękami zaczęła porządkować brudne narzędzia. Jedno z nich wysliznęło jej się z dłoni i gdy chwyciła je w locie, poczuła z rozpaczą, jak stalowe ostrze przecina jej skórę. Rana była niewielka, lecz natychmiast popłynęła z niej krew. Kate zacisnęła mocno dłoń i zamknęła oczy.

- Pokaż mi to - usłyszała opanowany głos Sama.

- Nie, nie. - Potrząsnęła głową. - To tylko draśnięcie. Nic mi nie będzie.

Odwróciła się, lecz Sam ujął ją za ramię, odwrócił do siebie i rozprostował jej zacisnięte palce. Uważnie przyjrzał się ranie i zaklął pod nosem.

- Trzeba to porządnie oczyścić.

- Zrobię to, kiedy posprzątam - odparła.

- Chyba zwariowałaś - powiedział ze złością. - Jesteś lekarzem i nie wiesz, że nawet w przypadku najmniejszej rany może wdać się zakażenie, i to jeszcze w tym klimacie? Przecież trzeba to zdezynfekować!

Wziął tampon, nasączył go odpowiednim płynem i zaczął delikatnie przemywać ranę. Chłodny dotyk jego ręki był dla niej czymś niespodziewanym i dziwnie miłym. Poczuła, że jej policzki znowu robią się gorące, a gdy pierwsze wrażenie minęło, uznała, że jego troska sprawia jej naprawdę przyjemność.

- Chyba już dobrze - oświadczył i wyprostował się. - Jeszcze tylko mały opatrunek, ale wieczorem musisz znowu przemyć tę ranę. To rozkaz.

- Czy ktoś kiedyś panu powiedział, że jest pan tyranem, doktorze Brady?
- spytała urażonym tonem.

- Słyszałem to wiele razy, ale nie przejmuję się tym.

W to nie wątpiła. Spojrzała w jego niebieskie oczy i poczuła dławienie w gardle, a także ciepły, męski zapach, który poruszył jej zmysły i przypawił ją o zmieszanie. O Boże, po co mi to wszystko? - pomyślała z rozpaczą. Była już zmęczona swoimi emocjami wywołanymi obecnością tego mężczyzny, którego nie знаła i właściwie nie chciała poznać.

Patrzyli sobie długo w oczy. Wyczuła w nim napięcie i ze zdumieniem zorientowała się, że podniósł rękę i delikatnie pogładził ją po spierzchniętych wargach. Poczuła, że brakuje jej powietrza, on tymczasem pochylał głowę i dotknął jej warg ustami. Potem cofnął głowę, westchnął, ujął jej twarz w dłonie i znowu lekko ją pocałował.

- Nie... - Szarpnęła się, oparła ręce na jego piersi i usiłowała go odepchnąć. Jęknęła, gdy objął jej dłonie, odwracając je spodem do góry z powodu skaleczenia. Znowu spróbowała się wyrwać, lecz przytrzymał ją mocniej i spojrzał na jej serdeczny palec.

- Aż dziw, że nikt nie chciał włożyć na ten palec pierścionka - rzekł w zadumie. - A może się mylę?

- Kiedyś mi się wydawało, że ktoś taki był... Patrzył na nią poważnie.

- I co się stało? - spytał.

- Właściwie... do dziś nie wiem.

- To dlaczego go opuściłaś? Roześmiała się z lekką ironią.

- A dlaczego myślisz, że to ja?

- Bo żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby ci odejść.

- Chyba żeby spotkał kogoś innego... - odparła, czując, że te słowa sprawiają jej ból.

- No więc jak to było?

- Pracowaliśmy razem. - Ze zdumieniem usłyszała swój spokojny głos. - Mieliliśmy wspólnych przyjaciół i wszędzie chodziliśmy razem. Wkrótce wszyscy zaczęli uważać nas za parę...

- Co was rozdzieliło? - spytał, gdy urwała.

- Chyba po prostu nie docierało do mnie, co się dzieje. - Ze znużeniem przejechała ręką po włosach, unosząc węzeł znad karku. - Może zbyttno zajęłam się pracą, może powinnam była mieć trochę więcej czasu dla niego...

Zmarszczyła czoło. Dlaczego mu to opowiada? Minęło całe dziewięć miesięcy, zanim zdołała zakopać wspomnienia o tym romansie tak głęboko, by już nigdy nie wypłynęły i dały jej spokój. Spojrzała ze złością na twarz Sama.

- Znalazł sobie inną i nie mam do niego o to pretensji.

- Kochałaś go?

- Tak. Nie. - Wzdrygnęła się i poczuła, że robi jej się słabo. Miała już tego dosyć. - Chyba myślałam, że tak - dodała, by wreszcie skończyć tę rozmowę. - Ale się najwyraźniej myliłam. Sądzę, że w wyniku tego wszystkiego została zraniona moja miłość własna.

Sam delikatnie dotknął jej podbródka.

- Ten facet to chyba idiota - zawyrokował. - Kate, to nie była twoja wina. Musisz w to uwierzyć, bo dopóki będziesz żyła negatywnymi wspomnieniami, nic się nie zmieni. Musisz się nauczyć wychodzić z trudnych sytuacji obronną ręką.

- Jak łatwo to mówić...

- Bo to jest łatwe. Po prostu musisz tego chcieć.

A obecna sytuacja - czy to jest to, czego ona chce? Ogarnęła ją panika. O tym mężczyźnie tak naprawdę wiedziała jedynie tyle, że w jego obecności staje się słaba i bezradna.

Pocałował ją lekko i zamknęła oczy. Była tak zdenerwowana, że nie mogła spokojnie myśleć, po czym nagle poczuła, że jest wolna.

- Wracajmy do pracy - powiedział. - Przyjmę jeszcze tych ludzi i jedziemy.

Machinalnie kiwnęła głową. Ogarnęło ją poczucie zagubienia i jakby rozczarowania. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego ulega Samowi? Czyżby niczego się jeszcze nie nauczyła?

Dopiero znacznie później, gdy wzięła prysznic i położyła się, uświadomiła sobie, że jej uczucia do Sama są dosyć złożone i ta myśl nie należała do przyjemnych. To, że Sam ją tulił i całował, nie ma oczywiście najmniejszego znaczenia. Gdy jego małżeństwo się rozpadło, z pewnością cierpiał, co wcale nie oznacza, że jego uczucia do kobiety, którą niegdyś kochał, wygasły.

Westchnęła ze znużeniem. To wszystko dzieje się za szybko i dlatego wymyka się spod kontroli. Przyjechała do Afryki, by na dobre zapomnieć o przeszłości i zacząć nowe życie. Wiedziała, że to życie nie będzie łatwe, jednak zupełnie nie przypuszczała, że przyczyną komplikacji będzie znowu mężczyzna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pomyślała, że dzień naprawdę powinien być dłuższy. Tego dnia już po raz trzeci zmieniła bluzkę i poszła na oddział męski, gdzie czekała na nią Jill.

Od tygodnia unikała dłuższych niż konieczne kontaktów z Samem, okazało się to jednak bardzo męczące, zwłaszcza że ten człowiek był chyba wszędzie. Niech go szlag! - pomyślała właśnie, zauważywszy w oddali znajomą postać w białym fartuchu i odruchowo skręciła w odwrotnym kierunku. Czy można się dziwić, że jest już wyczerpana?

Jill powitała ją ze smętną miną.

- Przykro mi, że rzucam cię znowu na głęboką wodę, ale mamy tu dwóch mężczyzn z kamieniołomów. U jednego podejrzewamy pęknięcie czaszki.

- Pokaż mi zdjęcie - poprosiła Kate i ruszyła za Jill do gabinetu, wyjmując po drodze z koperty zdjęcie rentgenowskie. Zawiesiła je na ekranie i uważnie przestudiowała. - Tak, coś tu jest. - Wskazała palcem punkt. - Czy wiadomo, co się dokładnie stało?

- Chyba się pobili z powodu jedzenia. - Jill uśmiechnęła się gorzko. - Mamy tu tego, który przegrał. Chyba nie muszę ci mówić, że tamtych wolałabym nie spotkać.

- Ja też wolę nie ryzykować - odrzekła Kate i ponownie spojrzała na ekran. - To chyba pęknięcie. Widzisz?

Jill wyprostowała się i skinęła głową.

- Chcesz go zatrzymać? - spytała.

- Myślę, że trzeba. - Kate wyjęła długopis z kieszeni bluzki i sporządziła notatkę. - Przez dwa dni tak go będzie bolała głowa, że zapamięta tę bójkę na całe życie.

- Może to da tym facetom coś do myślenia - rzekła Jill i schowała zdjęcie do koperty.

- Właściwie się nie dziwię, że czasem ich ponosi. Obserwuj go i daj mi znać, gdyby coś ci się nie spodobało. Chyba będzie długo spał, ale przepisałam mu też środki przeciwbólowe, gdyby go bardzo bolało. Kto następny?

Kate potarła czoło i ruszyła za Jill przejściem między metalowymi łózkami. Czuła narastającą frustrację. Drewniana podłoga była wyszorowana do białości, zasłony zaś, którymi można było otoczyć łóżka, nadawały sali nieco barwy. Mimo wszystko jednak były to warunki prymitywne i Kate często miała ochotę płakać, gdy brakowało podstawowych elementów wyposażenia szpitalnego.

Jill przystanąła obok łóżka, na którym siedział skulony mężczyzna. Jego oddech był świszczący. Nazywał się Joseph Evaliste i liczył pięćdziesiąt lat. Był wysoki i wyglądał jak szkielet. W pewnej chwili przyłożył rękę do piersi, z której wyrwał się suchy, męczący kaszel. W kącikach warg ukazała się odrobina krwi.

- Spytaj go - zwróciła się Kate do praktykanta, Simona Mxoli, który napełniał szklanek wodą - od kiedy jest w takim stanie i powiedz, że muszę go zbadać.

Mężczyzna odpowiadał na pytania Simona rwącym i chrapliwym głosem.

- Mówi, że kaszle od dawna - wyjaśnił Simon.

Kate zmarszczyła czoło. Wysłuchawszy oddechu pacjenta, włożyła słuchawki do kieszeni.

- Czy od dawna to znaczy od tygodni czy miesięcy?

- Wiele miesięcy - odparł Simon po wymianie zdań z chorym. - Mówi, że rano jest zawsze gorzej.

- A czy coś wyrzuca z siebie z tym kaszlem? Na przykład krew? I czy zawsze brakuje mu powietrza?

- Tak - przetłumaczył Simon.

- Dziękuję. - Uśmiechając się kojąco do pacjenta, Kate odsunęła się nieco od łóżka i wzięła kartę choroby. - Tak... To mi wygląda na chroniczną niedrożność dróg oddechowych.

- Co możemy zrobić? - spytała Jill, patrząc, jak Simon poprawia poduszki na łóżku chorego.

- Obawiam się, że niewiele - odrzekła Kate ze smutkiem. - Nie możemy go wyleczyć, możemy mu tylko trochę ulżyć. Najpierw musimy zwalczyć infekcję, bo inaczej dojdzie do niewydolności oddechowej. - Przejrzała notatki wręczone jej przez Jill. - Zaczniemy od ampicyliny, dwa razy dziennie przez tydzień. Gdyby kaszel męczył go w nocy, zastosujemy inhalacje.

Kate wpisywała swoje uwagi do karty, gdy do sali weszła Tessa Dioulu. Miała dwadzieścia pięć lat, była piękna, wysoka i z dumą nosiła swój biały strój, ozdobiony fiołkoworóżowym paskiem. Urodziła się w Ghanie, lecz później jej rodzice wyjechali do Anglii, gdzie ojciec był ortopedą. Teraz z niepokojem mówiła coś do Jill. Kate skończyła pisać i spytała:

- Jakież kłopoty?

- Tak, z jedną z dziewczynek. Dwa dni temu matka przysłała z nią do przychodni. Sam ją tam zbadał i kazał przyjąć do szpitala.

- Idziemy - oznajmiła Kate i spojrzała na Tessę. - Jakie miała wtedy objawy?

- Silny ból głowy, gorączkę, i piskliwie płakała.

- Miała wysypkę?

Dziewczyna kiwnęła głową i Kate zacisnęła usta.

- Na imię ma Bibesa - powiedziała Jill w drodze na oddział dziecięcy. - Umieściliśmy ją w separacie, bo baliśmy się rozprzestrzenienia infekcji. To tutaj.

Zanim weszły do małej salki, włożyły na twarz maski chirurgiczne. Ciało dziewczynki, która miała najwyżej trzy lata, pokryte było potem. Rzucała się niespokojnie przez sen.

- Sam chciał jej dać środki uspokajające, żeby się jak najmniej ruszała. - Jill spojrzała na Kate wymownie. - Dwa tygodnie temu jedno z dzieci w wiosce zmarło na zapalenie opon.

Kate poczuła, że serce jej zamiera z przerażenia, gdy sięgała po historię choroby.

- Widzę, że podajecie jej chloramfenikol. Tessa skinęła głową, badając puls dziecka.

- Ciśnienie krwi zaczęło spadać pół godziny temu.

- Jaką ma gorączkę? - spytała Kate, dotykając rozpalonej skóry dziecka.

- Czterdzieści stopni - odczytała Jill drętym głosem. - To nie wygląda dobrze, prawda?

- To bardzo dziwne - odparła Kate z namysłem. - Gdzie jest Sam?

- Operuje.

- Cholera! - Spojrzała na niespokojne dziecko, po czym przeniosła wzrok na monitor nad łóżkiem. - Chyba nie możemy na niego czekać. Muszę ją zbadać.

- Coś tu jest nie tak?

- Owszem, ale nie wiem co. - Ośluchała dokładnie dziecko. - Sam zrobił oczywiście nakłucie lędźwiowe?

- Tak. Właśnie nadeszły wyniki. Jill podała jej kartkę z laboratorium.

- Poziom białka w normie. - Spojrzała na drugą stronę. - Cukru też,

- Czy to źle?

- Jeśli to zapalenie opon - wyjaśniła Kate, opuszczając maskę - poziom białka powinien być zawyżony, a cukru - zaniżony. A tu nie ma nic takiego. Jill patrzyła na nią zaskoczona.

- To nie zapalenie opon - ciągnęła Kate. - Moim zdaniem to posocznica. W historii choroby zauważyłam wzmiankę o bólu gardła, a potem dopiero przysłała gorączka i pozostałe objawy.

- Więc co chcesz zrobić? - spytała Jill.
- Czy dziecko jest uczulone na penicylinę?
- Nic mi o tym nie wiadomo.

- W takim razie damy jej natychmiast domięśniowy zastrzyk debecyliny. Trzeba szybko obniżyć temperaturę. A poza tym proszę podawać jej dużo płynów.

Kate napełniła strzykawkę antybiotykiem i szybko zrobiła zastrzyk, nawet nie zauważając, że po cichu otworzyły się drzwi.

- No! - powiedziała. - To chyba pomoże. Za dwie godziny wszystko będzie jasne.

Nagle poczuła się wyczerpana. Wycierając ramieniem pot z czoła, podniosła do góry głowę i ujrzała wpatzonego w nią Sama. Wyglądał na zmęczonego. Widziała na jego skórze kropelki potu i niespodziewanie zapragnęła go dotknąć.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - spytał szorstko.

Jej ręka ze strzykawką, którą miała włożyć do naczynia podsuniętego jej przez Jill, zawisła w powietrzu. Kate nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Ze zdumieniem ujrzała w jego oczach złość.

- Zadałem pytanie!

Zanim zdołała wykrztusić z siebie słowo, dziecko poruszyło się niespokojnie. Sam zerknął na nie, po czym przeniósł wzrok na pobladałą twarz Kate, która drżącymi rękami zdejmowała rękawiczki chirurgiczne i maskę.

- Ja się nią zajmę - oznajmił równie szorstko. - Proponuję, żebyście wyszły na dwór. A z tobą porozmawiam później.

Opuściła izolatkę sztywnym krokiem, zdejmując po drodze fartuch i wrzucając go wraz z rękawiczkami i maską do kubła. Jak automat ruszyła do wyjścia. Drzwi otworzyły się lekko i znalazła się na werandzie. Trzymając się obiema rękami balustrady, głęboko wdychała chłodne powietrze wieczoru.

Gdzieś w oddali migotały światełka małych ognisk. Do domku dotarł zapach jakiejś gotowanej na dworze potrawy. Od dłuższej chwili była głodna, lecz nagle przeszła jej ochota na jedzenie.

- Mam cię dość - powiedziała, czując wzbierające w oczach łzy. Szybko zamrugała powiekami. Przecież nic się nie zmieniło. On nadal jej nie ufa. Jak mogła być tak naiwna, by sądzić, że się cokolwiek zmieniło?

Po chwili opuściła werandę i oparła się o drzewo nieopodal. Spojrzała na rozgwieżdżone niebo i z jakiegoś niejasnego powodu przypomniała sobie Jeremy'ego i dom. Tęsknota... Zniecierpliwionym gestem otarła łzę, która

spłynęła jej po policzku. Dlaczego teraz? Właśnie teraz, kiedy nabrała przekonania, że wreszcie jest chłodna i opanowana. Jak mogła tak szybko zapomnieć, że z taką łatwością można ulec poczuciu bezpieczeństwa?

Czy doświadczenia z Jeremym nie nauczyły jej, że wszystkie czułe słowa i obietnice wiodą donikąd? Miała wrażenie, że wyciągnęła z tych doświadczeń odpowiednie wnioski, a jednak się myliła. Świadomość, że nadal jest słaba, przyprawiła ją o smutek.

- Obrażona?

- Sam! - zawołała z niespodziewanym uczuciem ulgi i szybko zamruwała powiekami, by nie widział jej łez, świadoma, że jak zwykle, gdy Sam znajdzie się w pobliżu, ma ochotę rzucić mu się w ramiona. Wytarła ręką oczy i spytała: - Zawsze musisz się tak skradać?

- Wcale się nie skradałem - odparł łagodnie. - To po prostu ty nie słuchałaś.

- Zastosowałam się do twojej rady i wyszłam na świeże powietrze - powiedziała znużonym głosem. - Miałam ciężki dzień, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Kate, poczekaj. Musimy porozmawiać. Położył ręce na jej ramionach.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Jestem naprawdę zmęczona. - Odwróciła się, lecz Sam przytrzymał ją mocniej. Nie chciała z nim rozmawiać. Jego bliskość wystarczyła, by w jej głowie zabrzmiały cichutkie dzwoneczki alarmowe. Napięła mięśnie i ponownie spróbowała się odsunąć.

- To przynajmniej mnie pozwól coś powiedzieć.

- Och, powiedziałeś już chyba więcej niż trzeba, prawda?

- Winien ci jestem przeprosiny.

- Skoro już o tym mówisz, to istotnie, zgadzam się, tak. - Patrzyła na niego ze złością. - Znowu zakwestionowałeś moje kompetencje.

Roześmiał się cicho.

- To zabawne, ale przez chwilę w tej salce myślałem, że jest wręcz przeciwnie.

- Nie rozumiem.

- Kate, ja naprawdę leczyłem to dziecko na zapalenie opon.

- Przestań, Sam - odparła ostro. - Jesteś zmęczony. Oboje jesteśmy zmęczeni. Nie ma sensu o tym rozprawać.

- Kate, postawiłem błędną diagnozę.

- Przecież nie mogłeś postawić innej. Początkowo wyglądało to na zapalenie opon. - Bezwiednie przysunęła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu. - Ja postąpiłabym tak samo.

Poczuła, że mięśnie pod jej palcami się napinają.

- Pomyliłem się - oświadczył. - To ty miałaś rację. Chciałbym ci podziękować.

- Przestań, Sam. Mówisz od rzeczy. Postawiłeś diagnozę, jaka była wtedy możliwa, i zleciłeś dodatkowe badania. Każdy lekarz postąpiłby tak samo.

- Tak sądzisz?

Spojrzał na jej rękę i Kate, jakby nagle uświadomiwszy sobie, co zrobiła, szybko ją cofnęła.

- Nawet jeśli odniosłeś takie wrażenie, nie kwestionowałam twoich kompetencji - powiedziała szybko. - Stan dziecka zmienił się od chwili przyjęcia. Zaczęło spadać ciśnienie, a ja mogłam przeczytać wyniki badań, które ty zaleciłeś. Zrobiłam tylko to, co ty byś zrobił na moim miejscu. I to wszystko! A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Kate... - Była na wpół odwrócona, gdy mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach i zmusił ją, by na niego spoglądała. - Przepraszam, jeśli odniosłaś wrażenie, że ci nie ufam.

Napięła wszystkie mięśnie, usiłując odsunąć się od niego, za wszelką cenę przywrócić bezpieczną barierę odległości.

- Zapomnijmy o tym, dobrze? - zaproponowała. - To nie jest ważne.

- Chyba jest. - Potarł dłonią czoło i jego głos stał się jeszcze bardziej zmęczony. - Skończyłem operację i powiedziano mi o tej małej. Poszedłem tam i okazało się, że ty leczysz moją pacjentkę. Ale nie byłem zły na ciebie; byłem zły na siebie za to, że popełniłem błąd.

- I znowu to samo! - westchnęła. - Przecież w początkowym stadium objawy zapalenia opon i posocznicy są podobne!

- Masz rację, ale dopiero później to do mnie dotarło. Jeszcze raz cię przepraszam za moje zachowanie.

Stali patrząc sobie w oczy i złość gdzieś zniknęła. Kate czuła pulsowanie w skroniach. Sam był tak blisko, że słyszała bicie jego serca. Drgnęła, gdy wyciągnął rękę i dotknął palcem jej ust, a potem niespodziewanie musnął jej wargami. Poczowała, że brakuje jej tchu.

- Na pewno wiesz, że cię pragnę - szepnął.

Tym razem pocałował ją mocniej. Czuła na plecach jego wędrującą dłoń. Wiedziała, oczywiście wiedziała. Pod wpływem jego dotyku ożywała, płonęła, przeżywała doznania sprawiające, że człowiek ma wrażenie unoszenia się w powietrzu. Tak łatwo jest stłumić w sobie wszystkie protesty, dać się ponieść, dać się uwieść temu wszystkiemu, co jej oferował. Ale z tego właśnie powodu ten człowiek jest niebezpieczny. Boże, co robić?

- Nie! - szepnęła głuchym głosem i z wysiłkiem oderwała się od niego.

Z wysiłkiem, lecz także z żalem. Musiała jednak posłuchać wewnętrznego głosu, który mówił jej, że jeśli się zaangażuje, nie będzie w stanie właściwie wykonywać swojej pracy. Była jednak świadoma, że jeśli chodzi o Sama, łatwiej jest powiedzieć, że należy trzymać się od niego z daleka, niż to zrobić.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Była siódma trzydzieści rano, a upał dawał się we znaki jak chyba nigdy dotąd. Kate wzięła prysznic, włożyła granatową spódnicę džinsową, białą bluzkę, włosy zaś splotła w warkocz i upięła wysoko. Teraz czuła się dobrze, ale nie miała złudzeń: za pięć minut będzie cała mokra.

Idąc w stronę oddziału dziecięcego, uśmiechnęła się do grupy kobiet, które siedziały z dziećmi na kolanach pod jednym z nielicznych drzew. Od trzech tygodni gromadziły się na niebie burzowe chmury i powietrze było wyjątkowo ciężkie. Nocami rozlegały się czasami grzmoty, deszcz jednak nie nadchodził. Można było odnieść wrażenie, że natura postanowiła ludzi podreżyć.

Kate szybko włożyła biały fartuch i skierowała się do bocznej salki. Julie Lyongi szybko podała tacę jednej z pomocnic i niespokojnie podeszła do Kate.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie spodziewałam się...

- Wszystko w porządku. - Kate uśmiechnęła się do niej konspiracyjnie. - Powinnam teraz przyjmować pacjentów. Wpadłam tylko, żeby zobaczyć Bibesę.

- Dziś wygląda trochę lepiej - odparła pielęgniarka. - W nocy była niespokojna, ale to normalne. Przed chwilą wypila trochę wody i znowu zasnęła.

- Cudownie!

- Czy mam przynieść kartę?

- Och, nie! - odparła Kate. - Oficjalnie mnie tutaj nie ma, ale zajrzę do niej, dobrze?

- Proszę. - Julie z uśmiechem wskazała drzwi. - Ja idę rozdawać leki.

Kate doznała niewypowiedzianej ulgi, gdy zobaczyła, że oddech dziecka stał się równiejszy. Z radością stwierdziła też, że małe ciało nie jest już wilgotne. Wysoka gorączka minęła.

- Tak mi się wydawało, że cię tu znajdę.

W drzwiach stał Sam. Miał na sobie czarną koszulkę, biały fartuch przewiesił przez ramię. Wilgotne włosy świadczyły o tym, że przed chwilą wzięł prysznic.

Kate wyprostowała się z miną winowajczyni, gotowa jednak się bronić.

- Przepraszam - szepnęła. - Wpadłam tylko na chwilę. Wiem, że nie powinnam...

- Ja też. - Usta drgnęły mu w lekkim uśmiechu. - Myślisz, że nas wyrzucą? - Podeszedł i cmoknął ją w nos, zanim spojrzął na dziecko. - Wygląda lepiej.

- Całe szczęście. Wypiła już trochę wody. Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Chyba wiesz, że to twoja zasługa.

- Sam, nie zaczynaj od początku. Przecież najważniejsze jest to, że zdrowieje.

- Kilka dni temu nie dałbym jej wielkich szans.

- Dzieci są wyjątkowo odporne. - Spojrzała na niego i natychmiast tego pożałowała. Te usta, wpatrzone w nią oczy... - Zależy ci na niej, prawda? - spytała przez ściśnięte gardło.

- Oczywiście. Mężczyźni nie są niewrażliwi, a kobiety nie mają monopolu na uczucia. Mężczyźni po prostu lepiej je skrywają.

- Nie ma się czego wstydzić, Sam. Nie jesteś niepokonany, jak zresztą wszyscy - dodała sarkastycznie. - Gdy ktoś postanawia zostać lekarzem, wie, że spotka go dobre i złe. Nikt nie powiedział, że będzie łatwo lub że za każdym razem postawimy słuszną diagnozę. Robimy wszystko, co możemy, ale czasami to nie wystarcza...

Urwała, czując na ramionach ręce Sama. Zanim zorientowała się, co zamierza, ujął jej twarz i gorąco pocałował w usta. Co on wyprawia? - pomyślała ze złością. W istocie jednak jej serce mu uległo i opór zelżał.

- Sam, tak nie można - szepnęła.

- Wiem - odparł również szeptem, prawie nie odsuwając twarzy. - Ale nie potrafisz ci się oprzeć, kiedy jesteś zła.

Zamknęła oczy, usiłując oddychać spokojniej, gdy lekko pocałował ją w ucho, potem w szyję, a po chwili znowu w usta. Położyła rękę na jego piersi i wyczuła bicie serca. Nagle uzmysłowiła sobie, że jej uczucia wobec niego uległy zmianie, której nie potrafiła określić.

- Sam, to nie jest dobry pomysł - rzekła, odsuwając się nieco. - Przecież ktoś może wejść.

- Pewnie będzie nieco zaskoczony. - Patrzył na nią poważnie. - Ale mnie to nie obchodzi.

Odetchnęła głęboko, Sam znowu ją pocałował, jej ciało zaś samo przytuliło się do niego. Nagle napiął mięśnie i ją uwolnił. Gdy chciała zaprotestować, kątem oka dojrzała otwarte drzwi i uświadomiła sobie, że Sam ją zasłania, dając jej czas na doprowadzenie się do ładu.

Czuła, że ma czerwone policzki i była mu wdzięczna za pomoc.

- Dobrze, że pana zastałam - powiedziała Julie, z zatroskaną, twarzą przeglądając papierki. - Te wyniki badań są gotowe. -, Uśmiechnęła się przepraszając do Kate. - Pani doktor, przepraszam. Nie wiedziałam, że pani jeszcze tu jest. Mogę przyjść j później.

- Nie, proszę zostać. - Kate wyprostowała ramiona, udając, że nie widzi diabelskiego błysku w oczach Sama. - Myślę, że już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

- Na razie chyba tak - potwierdził i spojrział na nią z rozbawieniem. - Ale jeszcze do tego wrócimy.

Kate poczuła, że te słowa długo jeszcze będą brzmiały jej w uszach. A niech cię, Sam! - pomyślała, kierując się powoli w stronę przychodni. Wszystko tylko utrudniasz.

Z ulgą przywitała następne dni, które były tak pełne pracy, że nie miała czasu myśleć o niczym innym. Przepisywała leki na infekcję górnych dróg oddechowych, leczyła wrzody, zszywała rany, odkryła też groźny przypadek muszycy.

Jak zwykle mogła polegać na Simonie Mxoli. Chłopak w ciągu kilku miesięcy nauczył się podstaw opieki pielęgniarskiej i z entuzjazmem służył za tłumacza.

Czas mijał, a ona jakby nie była tego świadoma. Pewnego dnia tak pochłonęła ją praca, że drgnęła zaskoczona, gdy w drzwiach stanął Greg i przypomniał jej, że od śniadania nie miała nic w ustach. Zerknąwszy na zegarek stwierdziła, że jest już dobrze po południu, przeprosiła więc Simona i wysłała go na lunch, sama zaś pozostała przy swym wyszorowanym, drewnianym stole.

- Greg - powiedziała, wskazując na kolejkę, która od rana nie zmalęła ani na jotę - nie jestem głodna i sam widzisz, ilu ich jest. Jeśli pójdę na lunch, wiesz, co tu się będzie działo?

- Wyobrażam sobie - odparł wesoło, patrząc na nią z rozbawieniem. - Masz na nosie kurz. Bardzo to twarzowe, ale nie twój odcień. - Ignorując protesty, zmusił ją do wstania i pomógł zdjąć fartuch. - Chodź. Wszyscy musimy jeść, nie mówiąc już o konieczności picia. A przy okazji - z uśmiechem sięgnął do kieszeni - może ucieszy cię to?

- Listy?! - zawołała. - Prawdziwe listy? Do mnie?

- Oczywiście. - Trzymał je w zasięgu jej ręki. - Był u nas listonosz. A tak naprawdę, to przyjechała ciężarówka z dostawami i przy okazji przywiozła pocztę.

Wręczył jej dwie koperty. Na jednej rozpoznała pismo ojca, pismo zaś na drugiej wydało jej się znajome, choć nie potrafiła go skojarzyć z osobą.

- Pójdiesz teraz na lunch?

- Tak.

Pospieszyła za nim, przyciskając listy do piersi, choć perspektywa spotkania w kantynie Sama napełniła ją lękiem. Gdy wyszli na otwartą przestrzeń, upał uderzył w nich falami wprost ze spękanej ziemi, niemniej Kate zaczęła wreszcie wyławiać dźwięki typowe dla afrykańskiego świata, dla niej nadal nowe, lecz już urzekające.

Zdziwiła się, że tak szybko jej się to życie spodobało i jednocześnie poczuła smutek, że niedługo będzie musiała ten świat opuścić. Jak przyzwyczai się na nowo do kieratu dawnych obowiązków? Na dodatek bez Sama?

W kantynie Sanje raczył się kanapkami, Jill zaś czytała listy. Greg z uśmiechem wręczył Kate talerz i sztućce.

- Komu kawy? - zapytał Sanje, otwierając termos i nalewając sobie kawę.

- To najlepsze, co mnie tego dnia spotkało - odparła Jill, dopijając resztkę i podsuwając mu filiżankę. - Trzy kostki cukru.

- Nie masz serca! - Z uśmiechem podał jej kawę.

- Przyda się każdy zastrzyk energii. - Przeciągnęła się, tłumiąc ziewanie.

- Czasem śni mi się taki koszmarny sen, kiedy nagle znikają mi stopy i odnoszę wrażenie, że się rozplýwam.

- O Boże, zjadłbym konia z kopytami. - Z posepną miną Greg uniósł pokrywę dużego garnka i zamieszał w nim łyżką wazową. - Może być lekko duszony.

Jill roześmiała się.

- Ale to jest całkiem dobre - zachęciła. - Spróbuj, to jagnięcina w sosie curry.

- No cóż, wierzę ci, ale chyba zjem kanapki.

Kate wzięła sałatkę i sok owocowy, postawiła tacę na małym stoliku i zaczęła jeść, otwierając pierwszą kopertę. Ojciec pisał to samo co zwykle:

Wczoraj spadł śnieg. Nie muszę ci mówić, że natychmiast wezwano mnie na farmę Willowdale. Na szczęście pług już oczyścił drogi. Epidemia grypy wreszcie się skończyła. Smutną wieścią jest to, że Josh Hetherington nie przetrzymał zimy i zmarł w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat, ale przynajmniej miał dobre życie.

Z uśmiechem otworzyła drugą kopertę. Ze zdumieniem stwierdziła, że list pochodzi od Beth Read, która pisała:

Życie jak to życie. Nigdy nie starcza dnia. Brakuje mi ciebie, więc nie przywiązuj się zbyt do Afryki. Aha. Pewnie chciałabyś wiedzieć, że kilka tygodni temu Jeremy opuścił St. Maud's...

Kate czekała, aż poczuje ból, i była zdumiona, gdy odkryła w sobie obojętność. A więc Jeremy i Anna wzięli ślub? No cóż, wszystkiego najlepszego. Przecież o takiej żonie Jeremy zawsze marzył.

Ale mógł ożenić się z tobą, przemknęło jej przez myśl, lecz natychmiast przywołała się do porządku, uświadamiając sobie, że nigdy go nie kochała. Czasami nawet zastanawiała się, dlaczego to wszystko tak długo trwało. Jeremy był dobrym kolegą, wiele ich łączyło. Mnóstwo czasu poświęcała na naukę, pragnąc zdobyć dyplom, Jeremy zaś był o rok starszy i bardzo ambitny.

Dlaczego więc opuścił St. Maud's? Miał tam przecież dostać pracę. Ale może znalazł coś lepszego? W każdym razie jeszcze raz wszystkiego najlepszego.

Przed jej oczami stanęła niespodziewanie twarz Sama i znowu przemknęło jej przez myśl pytanie, jak by to było mieć kogoś takiego za męża. Otrząsnęła się. Przecież atrakcyjność to jedno, a małżeństwo to drugie. Czyżby ostatnie miesiące nie nauczyły jej choćby tego, że jedno i drugie niekoniecznie idą w parze?

Z westchnieniem ujęła widelec. Sałatka była bardzo dobra i Kate stwierdziła, że jest bardziej głodna, niż myślała. Gdy wreszcie odsunęła od siebie talerz, z uczuciem zażenowania zauważyła rozbawione spojrzenie Grega.

- Jak na kogoś, kto nie był głodny, całkiem dobrze ci poszło. A teraz mam dla wszystkich dobrą wiadomość. - Podniósł głos. - Mały Ben wrócił dzisiaj do domu. - Jego słowa powitały oklaski. - Kto będzie następny? - Uśmiechnął się, gdy Kate uniosła głowę. - Myślę, że to i tak duży postęp.

Nalewała sobie kawę, gdy wszedł Sam - właśnie w chwili, gdy wszyscy opuszczali kantinę. Na jego twarzy malował się wyraz niepokoju.

Usiadł, napenił filiżankę i Kate podała mu cukier. Ich palce się dotknęły, wywołując w niej tak żywe wspomnienie pocałunku, że jej ręka zadrżała i trochę kawy wylało się na spodeczek.

- Masz kłopoty? - spytała nieswoim głosem.

- Chyba tak. Dzwonili od Kendalla. Ted Kendall to strażnik w jednym z rezerwatów zwierzyny. Od jakiegoś czasu mają kłopoty z kłusownikami. On i jego syn, Pete, są ranni.

- Poważnie?

- Pete został postrzelony i podobno stracił dużo krwi. Muszę tam jechać.
- Zamieszkał kawę. - Pojedziesz ze mną? Poznasz Teda i jego żonę. To miła para.

- Chętnie. - Jego propozycja sprawiła jej przyjemność. -Daj mi tylko trochę czasu.

- Wyjeżdżam za pół godziny. Znajdę ci zastępstwo w przychodni.

Skończyła szybko kawę, pobiegła do siebie i natychmiast wzięła prysznic. Pół godziny później, ubrana w dżinsy i szeroką, zieloną koszulkę, pospieszyła do land rovera Sama.

- Przepraszam, jeśli czekałeś - rzekła bez tchu.

- W porządku. I tak musiałem sprawdzić, czy czegoś nie brakuje. - Wyciągnął rękę, by pomóc jej wejść na wysokie siedzenie, przez chwilę zatrzymując wzrok na opiętych dżinsami udach.

Niebo było błękitne, prawie bez chmur. Była zadowolona, że ma z sobą kapelusz, mimo że włosy pod nim natychmiast zwilgotniały. Kiedy go zdjęła, musiała dokładnie wytrzeć czoło.

- Długo będziemy jechać?

- Około godziny, ale muszę cię ostrzec, że miejscami droga jest straszna.

Kiedy ruszyli, Kate nie mogła oderwać wzroku od strzelby, którą Sam umieścił w kabinie.

- Chyba nie chcesz tego używać - rzekła z wymuszonym uśmiechem.

- To na wszelki wypadek - wyjaśnił, usiłując jechać w miarę łagodnie. - Wolę nie ryzykować.

- Myślałam, że z problemem kłusownictwa już się uporano? Roześmiał się gorzko.

- Jeśli gra idzie o wielką stawkę, zawsze znajdzie się ktoś, kto gotów jest zaryzykować. Ludzie tacy jak Ted spędzili na walce z kłusownikami całe życie, ale tamci są coraz sprytniejsi. Uwierz mi, że tp jest dalej niezły interes, i nie chodzi tu tylko o kość słoniową. Dziś sprzedają także narządy zwierząt i kości.

- Kendallowie to twoi przyjaciele? - spytała.

Nie odpowiedział od razu, uważnie patrząc na drogę.

- To miła para. Rok temu Margaret miała lekki zawał. Jest w dobrym stanie, ale Ted mimo wszystko się martwi. - Wskazał ręką w lewą stronę i dodał: - Słonie.

Było to małe stado, samice oraz wielki pan i władca. Słonie poruszały się bardzo powoli, z gracją mastodontów, wzniesając tumany kurzu.

- Idą do wodopoju.

Kate obserwowała je oczarowana.

- Trudno uwierzyć, że tak wielkie stwory mogą być tak piękne, ale to prawda. Dlaczego ktoś miałby chcieć je zabijać?

Sam zwolnił i stanął, żeby mogła się lepiej przyjrzeć całemu towarzystwu.

- To mała grupa. Coś musiało je oddzielić od stada.

- A więc jest ich więcej?

- Owszem, gdzieś za nami.

Automatycznie obejrzała się przez ramię i poczuła, że jego ramię ociera się o jej szyję. Pachniał wodą po goleniu i kiedy ujrzała jego twarz tuż przy swoim policzku, zdrętwiała z wrażenia. Odetchnęła głęboko, udając, że interesują ją jedynie słonie.

- Naprawdę jesteście między nimi a stadem?

- Boisz się? - spytał rozbawiony.

- Słonie widziałam tylko w zoo i to mi wystarczy. Dziękuję. - Znowu bezwiednie spojrzała na jego profil i ogarnął ją zachwyt. On pewnie myśli, że się trzęsę jak galareta, nie wie tylko, że to raczej przez niego, a nie słonie.

- Chyba nam nic nie grozi, prawda? - spytała cicho.

- Dzikie zwierzęta mogą być zawsze groźne. Nigdy nie bądź niczego pewna. Tutaj zawsze ktoś ma ochotę na kolację.

- Dzięki za ostrzeżenie. Będę o tym pamiętała, kiedy poczuję ochotę na spacer.

Błysnęła zębami w szerokim uśmiechu.

- Tak czy owak, chyba stają się niespokojne. Jedźmy. Zwolnił sprzęgło i ruszył, Kate zaś zamyśliła się. Tutaj dzikie zwierzęta nie stanowią jedynego zagrożenia. Gorsze są te niby przyjazne stworzenia na dwóch nogach...

Przyłożyła rękę do szyi. Nawet wiatr był gorący, zaś kura wzniecany przez koła samochodu utrudniał rozmowę.

- Czy tu nigdy nie pada? - spytała, zwilżając wargi.

- Teoretycznie są dwa sezony deszczowe. Krótki wiosną i dłuższy w listopadzie.,

- Teoretycznie?

- Tak, teoretycznie.

Kate spojrzała na dojrzewającą kukurydzę.

- No to co będzie ze zbiorami, jeśli nie popada? Samochód wpadł w wyjątkowo głęboką koleinę i Sam z trudem go z niej wydostał.

- Jeśli deszcze się tylko spóźnią, zboża przetrwają. Jeśli w ogóle nie popada - wzruszył ramionami - będzie katastrofa.

- Ale... to okropne.

- Nie po raz pierwszy, Kate, i nie ostatni. To już jest taki kraj. Kiedy pada deszcz, wszyscy uważają to za cud. - Spojrzał, jak ona, na splekaną ziemię. - Może to rzeczywiście cud, ale kiedy już pada, jeziora zapełniają się w ciągu

kilku godzin, a to, co tu widzisz, zamieni się w zielony dywan. Zakwitną nawet kwiaty.

- W ciągu kilku godzin?

- Kate, ja nie mówię o kwietniowych ulewach w Anglii; mówię o deszczach, jakich zapewne w życiu nie widziałaś. A ja widziałem na własne oczy, jak wyschnięte łożysko rzeki zamienia się błyskawicznie w rwący strumień.

Zaczęła chłodzić twarz kapeluszem. Sam sięgnął do tyłu i podał jej termos z sokiem. Podziękowała mu, delektując się smakiem płynu, mimo że był ciepły.

- Widzisz te wzgórza? - spytał, wskazując do tyłu.

Odwróciła głowę, starając się coś dostrzec przez drgające powietrze, zachwycona i przerażona nierealnością tego świata. Odpięła jeszcze jeden guzik koszuli, bo żar chyba się spotęgował.

- Z ich szczytu widać ponad sto kilometrów Wielkich Rowów Afrykańskich.

Wierzyła mu. Tu wszystko jest możliwe.

Sam jechał powoli, lekko manewrując kierownicą. Na jego koszuli ukazały się mokre plamy, upał jednak najwyraźniej mu nie przeszkadzał. Kate pomyślała, że ona nigdy się chyba do tego nie przyzwyczai, niemniej poczuła podniecenie, gdy ujrzała stado zebra, spokojnie skubiące to, co jeszcze do skubania pozostało.

Musiała sobie powtarzać, że to nie sen. Rozumiała, dlaczego można się w tym kraju zakochać. Jak ona ma teraz wrócić do St. Maud's? Przecież jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Rozejrzała się wokół uważnie i westchnęła.

- Zmęczona?

- Co? Nie, nie! Jestem tylko wciąż zaskoczona. To wszystko jest takie inne...

- Rozumiem. - Zerknął na nią. - Trochę to trwa, nim się człowiek przyzwyczai.

- To zabawne, ale naprawdę miałam wrażenie, że wiem, jak Afryka wygląda. Oglądałam zdjęcia, czytałam książki, ale... - potrząsnęła głową - rzeczywistość to wszystko przerasta. Tu są takie miejsca, że naprawdę zapiera dech. I tyle kontrastów, i takie odległości... Nie czujesz się tu nigdy samotny, na tych antypodach?

Zauważyła, że jego twarz tężeje.

- Przepraszam, to było nietaktowne. Nie powinnam o to pytać, zwłaszcza że... - Urwała przerażona, wiedząc, że staje się coraz bardziej nietaktowna.

- Dokończ - odezwał się łagodnie. Czują, że czerwienieją jej policzki.

- Przepraszam, słyszałam, że się rozwiodłeś. Nikt nie plotkował na ten temat, po prostu Greg kiedyś o tym wspomniał. Myślał chyba, że o tym wiem...

- Nie przejmuj się, to już nieważne - odparł szorstkim głosem. - Wiesz, jakie są te małe społeczności: wsie, szpitale, i tak dalej. Jeśli czyjaś żona wyjdzie z domu, wiedzą o tym wszyscy.

- Przepraszam - powtórzyła. - Byłeś chyba zdruzgotany. Wzruszył ramionami.

- Może to zabrzmiało dziwnie, ale nie wiem, jak się wtedy czułem. Jak ci wiadomo, każdy kij ma dwa końce. Może powinienem był się trochę bardziej zająć żoną, a nie myśleć tylko o pracy. Ale ja zająłem się zbiórką funduszy, poza tym miałem podpisany kontrakt ze szpitalem, no i wybierałem się do Ramindi - wtedy na sześć miesięcy. - Roześmiał się gorzko. - Nie zostawiłem sobie wiele czasu na życie prywatne.

Kate spojrzała na niego uważnie.

- Ale twoja żona chyba to rozumiała?

- Sara nie miała żadnego związku z medycyną. Pracowała w lokalnej stacji radiowej. To ironia losu, naprawdę, bo dzięki temu się poznaliśmy. Chciała zrobić program na temat tej zbiórki funduszy.

- Ale kiedy się zgodziła zostać twoją żoną, chyba wiedziała, na czym polega zawód lekarza? Przecież to nie praca od dziewiątej do piątej.

- To nie jest takie proste - odparł z westchnieniem. - Później się nad tym zastanowiłem i doszedłem do wniosku, że wiedziałem, w co się pakuję. Sara nie miała najmniejszego powodu, żeby cieszyć się z wyjazdu do Ramindi. George jeszcze jakoś sobie z tym radził, ale brakowało pieniędzy.

- Dlaczego winisz siebie? - spytała z oburzeniem. - Przecież ona musiała wiedzieć, co ta wyprawa dla ciebie znaczy.

- Chyba byliśmy oboje naiwni. I wszystko było początkowo cudowne. Sara lubiła ludzi, pracę. Myśleliśmy, że jakoś przetrwamy mój wyjazd. Niektórzy mówią - wykrzywił cynicznie wargi - że rozstanie pomaga miłości. No cóż, nie był to nasz przypadek. Nie miałem prawa żądać, żeby tak długo na mnie czekała.

- Jak to się właściwie skończyło?

- Wziąłem kilka dni urlopu. Samochód dostawczy podwiózł mnie do Nairobi, skąd pierwszym samolotem poleciałem do Anglii. Chciałem zrobić Sarze niespodziankę, ale nie zastałem jej w domu. Czekałem, aż wreszcie zrozumiałem, że nie wróci. Potem pomyślałem, że może mieszka z

przyjaciółką. Zadzwoiłem tu i tam i okazało się, że miałem rację. Tyle że to był przyjaciel.

- Co zrobiłeś?

- Przyszła wreszcie do domu, nad ranem. Nie była to przyjemna rozmowa. Sara spakowała swoje rzeczy, a ja wróciłem do Afryki i przedłużyłem kontrakt.

- Wiesz, gdzie jest teraz?

- Podobno wyszła za mąż za jakiegoś producenta z telewizji. Zrobiła karierę. Czyta wiadomości.

- Co? - spytała zdumiona. - To chyba nie jest...

- Tak, to ona.

- Sam, tak mi przykro.

- Przestań. Przynajmniej wiem, że nie należy robić dwa razy tego samego błędu. I na szczęście nie mieliśmy dzieci.

- Nie chciałeś? - spytała cicho.

- O tym zupełnie nie myślałem.

Mimo upału Kate zadrżała. W psychice Sama jest pewien słaby punkt, starannie przez niego strzeżony. Łatwo by jej przyszło w nim się zakochać, ale czy on podjąłby drugi raz ryzyko? Ku swemu zdumieniu poczuła jego rękę na policzku, jakby to on chciał ją pocieszyć, a nie ona jego.

Ujęła jego dłoń, przymknęła oczy i westchnęła głęboko, czując, jak wypełniają niewypowiedziana tęsknota. Szkoda, że nic z tego nie będzie.

- Sam! - powiedziała z rozpaczą i odsunęła się. - Patrz na drogę.

- Tchórz - obwieścił i roześmiał się.

Nie patrzyła na niego. Tak, Sam ma rację. Ona się boi. Jest przerażona tym, że on przesłonił jej świat.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Odetchnęła, kiedy wreszcie dojechali do farmy Kendallów. Sam zgasił silnik i właśnie sięgał po torbę lekarską, gdy z domu wyszła Margaret.

Miała około sześćdziesięciu lat, lecz nadal nosiła ślady wielkiej urody. Pochodziła z Afryki Południowej, była wysoka, siwiejące włosy nosiła zaczesane do góry i przewiązane opaską, na sobie zaś miała bawełnianą sukienkę z krótkimi rękawami.

- Sam, dobrze, że jesteś - rzekła na powitanie. - Bardzo się tym wszystkim denerwuję.

- Jak Ted?

- Sfrustrowany. - Zaśmiała się krótko. - Wiesz, jak to on. Jest zły, kiedy nie potrafi zrobić czegoś, co powinien. Chyba nieźle oberwał w głowę, choć się do tego nie przyznaje. Ale jeszcze bardziej martwi mnie Pete.

- Już idę. - Sam opiekuńczym gestem ujął jej ramię. - A Ted ma rację: ty się nie martw. To stary twardziel i Pete ma to po nim. - Z pełnym ekwipunkiem ruszyli w stronę drewnianego, piętrowego domu. - A to jest doktor Kate Stewart - poinformował. - Chciałem, żebyście się poznały.

Margaret uścisnęła dłoń Kate i powiedziała:

- Miło mi. Zawsze mi miło, kiedy poznaję kogoś nowego. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

- Proszę mi mówić po imieniu - rzekła Kate z uśmiechem. - Jestem pewna, że Sam sobie ze wszystkim poradzi.

Margaret wprowadziła ich do chłodnego wnętrza domu. Sam zlustrował wzrokiem mężczyznę siedzącego na krześle.

- No i jak tam, Ted? Znowu wojujesz? A czy przynajmniej pamiętasz, co się stało?

- Jasne! - Przekleństwo wypowiedział już półgłosem. - Ostrzeżono nas, że mogą być kłopoty. Kilka dni temu ktoś widział sporą grupę kłusowników na naszym terenie, a potem znaleźliśmy zmasakrowanego słonia. Zginął niedawno, wiedzieliśmy więc, że dranie muszą być blisko. - Potrząsnął głową i skrzywił się z bólu. - Byli bliżej, niż myśleliśmy. Zaskoczyli nas.

- Pokaż no się. - Sam delikatnie usunął zakrwawiony kompres, który Ted przytrzymał z tyłu głowy. - Ho, ho, niezłego będziesz miał guza. - Przyjrzał się ranie uważniej. - Margaret znakomicie to oczyściła, ale nie obejdzie się bez szycia.

- Nic mi nie będzie. - Ted odsunął ich od siebie gestem dłoni. - Idźcie do Pete'a. Z nim jest gorzej.

Sam już klęczał przy młodszym z mężczyzn. Ten miał zamknięte oczy, bladą twarz, koszulę zakrwawioną na przodzie i lewym rękawie.

- Pete, to ja, Sam Brady. Chcę tylko zobaczyć, co ci zrobili. Pete uniósł na chwilę powieki.

- Cześć, doktoru.

- Nie ruszaj się, dobrze? Muszę cię zbadać.

- Nigdzie się nie wybieram.

Zaśmiał się krótko, po czym jęknął i zamknął oczy.

- Cieszę się - odparł Sam, choć usta mu zadrgały. - Postaram się, żeby cię nie bolało, ale muszę trochę pogrzebać. Trzeba znaleźć kulę.

Kate rozłożyła już przybory na małym stoliku, po czym automatycznie ujęła rękę chorego, starając się wyczuć puls. Jednocześnie szybko oceniała jego stan. Oddech miał płytki, pokrytą kropelkami potu skórę. Pomyślała, że będą musieli go operować. Sam tymczasem odsunął na bok koszulę.

- No i jak? - spytała.

- Trochę to nieprzyjemne - odparł. - Czy widziałaś już ranę postrzałową?

- W Foxleigh nie mamy wielu kłusowników. Ścisnął jej ramię w przyjaznym geście.

- W tej ranie jest kula. Miałem nadzieję, że przeleciała na drugą stronę, ale tak nie jest. Czy asystowałaś już przy takich zabiegach?

- Nie. Przypatrywałam się, ale... Poradzę sobie, tylko mi mów, co robić.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się z trudem, czując, że jej twarz staje się gorąca. Sam znowu ukłękął przy rannym.

- Pete, musimy wyciągnąć kulę.

- Ale tutaj...? - Margaret przyłożyła rękę do ust, rozglądając się po pokoju.

- Nie mamy wyboru. Musimy ją wydostać, zanim wywiąże się jakaś infekcja. Dobrze się czujesz, Margaret?

- Tak - odparła cicho. - Powiedzcie mi tylko, co mam zrobić.

- Musimy skorzystać z kuchni. Trzeba wyszorować stół.

- Już idę. - Margaret była w drzwiach, gdy zatrzymał ją głos Sama.

- Pokaż nam wszystko, a potem my sobie poradzimy. Ted potrzebuje teraz wsparcia psychicznego.

Kate domyśliła się, że w ten sposób Sam chce uspokoić starszą panią. Po chwili wahania Margaret pokiwała głową i ujęła męża za rękę.

- Macie rację - przyznała. - Tylko przygotuj stół.

- Wszystko będzie dobrze, Maggie - dodał Sam, kiedy znikwała w kuchni, po czym przeniósł wzrok na Pete'a. - Wyciągniemy to świństwo, stary. Nie myśl teraz o niczym.

Na wpół przytomny mężczyzna uniósł lekko rękę w geście przyzwolenia i natychmiast ją opuścił.

- Zbadam go dokładnie - oznajmił Sam, wyciągając stetoskop.

- A ja przygotuję wszystko do operacji - powiedziała Kate.

Dziesięć minut później, gdy stół operacyjny był już przygotowany, spojrzała na Sama i stwierdziła, że zdjął koszulę i czeka, by zawiązała mu fartuch i maskę. Zrobiła to drżącymi palcami.

- Mam nadzieję, że pójdzie nam szybko. Stracił dużo krwi, ale rana wygląda na czystą.

- Operacje to nie moja specjalność, Sam - rzekła niepewnym głosem. - Co będzie, jeśli coś sknoce?

- Wszystko będzie dobrze - oświadczył zdecydowanie. - Po prostu patrz i słuchaj mnie.

Skinęła głową i odwróciła się w geście jakby samoobrony, świadoma, że nie tyle boi się operacji, co tego, że bliskość Sama może ją rozpraszać. Z ulgą zajęła się układaniem instrumentów.

- Wszystko w porządku?

- Co? - Zamrugnęła gwałtownie powiekami i odwróciła głowę w stronę Sama, który patrzył na nią ze zmarszczonym czołem. - Tak, tak - powiedziała szybko. - Jestem tylko trochę zdenerwowana.

- Uwierz mi, nie ma powodu do niepokoju. Odetchnij głęboko i zaczynamy.

Gdyby to było takie proste! Niemniej skinęła głową i drżącymi palcami po raz ostatni poprawiła instrumenty. Dosyć, powiedziała sobie. Myśl tylko o tym rannym człowieku.

Sam pracował spokojnie, wydając jej od czasu do czasu krótkie polecenia. Gdy uprzedzała jego życzenie, z wdzięcznością kiwał głową. Kiedy zdenerwowanie Kate minęło, jej ruchy stały się automatyczne i nie wiadomo kiedy stali się zgraną parą.

- Miał niesamowite szczęście - rzekł Sam półgłosem, gdy rana została oczyszczona. - Kula ominęła najwrażliwsze miejsca. A to byłoby naprawdę niebezpieczne.

Kate straciła poczucie czasu, świadoma jedynie pochylonego ciała Sama i swego napięcia. Czasami przesuwiała wierzchem dłoni po czole, ścierając pot. W pewnej chwili jeden z instrumentów wypadł jej z ręki i z brzękiem wylądował na podłodze. Wbiła wzrok w dłoń, zdumiona swą niezdarnością.

- Zostaw to - powiedział Sam cicho. - Podaj inny.

Posłuchała go i spróbowała się skoncentrować, mimo że maska utrudniała jej oddychanie. Minutę później, wydając cichy okrzyk triumfu, Sam rzucił kulę na metalową tackę.

- Co za małe paskudztwo! - Zgiął ręce i ponownie pochylił się nad rannym. - A teraz już pójdzie jak po maśle. Wystarczy tylko zaszyć.

Kate wreszcie się uśmiechnęła. Po kilku minutach Sam wyprostował się i zdjął maskę.

- No, już po wszystkim. - Gdy dotknął przelotnie jej ramienia, poczuła, że robi się jej jeszcze bardziej gorąco. - Posprzątajmy tu trochę i przekażmy Kendallom dobrą nowinę. Pewnie zamartwiają się na śmierć.

Niedługo potem wyraźnie rozpozgodzona Margaret podała im zimne piwo.

- Nigdy się wam nie wypłacimy - powiedziała i ujęła dłoń męża. - Kiedy zobaczyłam go w takim stanie, pomyślałam, że możemy go stracić... - Urwała, Ted zaś chrząknął ze wzruszeniem.

- Cztery lata temu zginął nasz młodszy syn, Neil. Wypadek na koniu - wyjaśnił, gładząc rękę żony. - Czasami się wydaje, że najgorsze człowiek ma już za sobą, a potem nagle zdarza się coś takiego jak dziś.

- Przykro mi - szepnęła Kate. - Nie wiedziałam.

- Pete szybko wyzdrowieje - zapewnił Sam, dotykając ramienia Teda. - Wiem, że rana wyglądała paskudnie, ale naprawdę jest dobrze. Przez kilka dni będzie się czuł, jakby kopnął go byk, bo stracił dużo krwi. Pilnujcie, żeby nie wstawał za wcześnie, a wszystko będzie dobrze.

- Tym to się nie martw - odparła Margaret. - Nie spuszczę go z oka. - Zerknęła zaczepnie na męża. - Od dziś obaj będą mnie słuchali.

- Zostawiam antybiotyk i środki przeciwbólowe. - Sam wręczył jej małe buteleczki. - W razie jakichkolwiek wątpliwości - dzwońcie.

- Już ja dopilnuję, żeby to brali - oznajmiła Margaret i odprowadziła Sama i Kate na werandę. - Rzadko tu mamy gości - powiedziała do Kate z uśmiechem. - Szkoda, że nie wystarczy nam czasu, żeby się lepiej poznać.

- Wyjeżdżacie?

Margaret spojrzała na Sama i uśmiechnęła się smętnie.

- Wreszcie coś postanowiliśmy. Ted dał się przekonać, że ta robota już nie jest dla niego i za dwa miesiące przechodzi na emeryturę. Po tym, co się dziś stało, nie ma gadania.

- A gdzie pojedziecie?

- Ted jeszcze się nie zdecydował - odparła Margaret - ale najpierw pojedziemy do Anglii odwiedzić rodzinę. Ted nie widział swoich braci od

dwudziestu lat, a ja siostry. Wszyscy mają dzieci. W naszym wieku nie wolno tracić czasu. Przed wyjazdem zaprosimy was na skromne przyjęcie. - Konspiracyjnie zniżyła głos. - Obchodzimy też rocznicę. Czterdziestą. - Jej twarz spoważniała. - Chyba nadeszła pora, żebyśmy zrobili to, o czym zawsze marzyliśmy. Ted lubi swoją pracę i nie mogę powiedzieć, że mieliśmy tu złe życie, ale niech go wreszcie zastąpią młodzi. - Uśmiechnęła się znowu. - A więc do zobaczenia na przyjęciu, a potem prosto do samolotu.

- Wszystkiego najlepszego, Margaret - rzekł Sam, całując ją w policzek. - I nie martw się o syna. Szybko wyzdrowieje.

Słońce nie prażyło już tak bezlitośnie, lekki wiatr odświeżał powietrze. Kate wrzuciła ostatnią torbę do samochodu i wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Przymknęła oczy i odgarnęła włosy z czoła. Cudownie by było teraz wziąć prysznic! - pomyślała i szybko się otrząsnęła, zauważywszy spojrzenie Sama.

Odwróciła się i lekko zachwiała, ściskając palcami skronie. Sam w jednej chwili znalazł się przy niej. Bezwiednie wyciągnęła rękę i przytrzymała się jego ramienia.

- Co ci jest? - spytał łagodnie.

- Nic. - Zwilżyła spierzchnięte wargi i uśmiechnęła się z trudem. - Chyba się jeszcze trzęsę po tej operacji.

- Nie wstydz się. Znakomicie to zniosłaś. Bez ciebie nie dałbym sobie rady.

- Dotychczas tylko czytałam o ranach postrzałowych. Wiem, że kłusownictwo nadal istnieje, ale... Sam, nie wiedziałam, że Kendallowie stracili syna. Wyobrażam sobie, jak tym razem musieli cierpieć. Ja chyba nie miałabym tyle odwagi.

- Ted kocha swoją pracę, uwielbia otwarte przestrzenie, zwierzęta...

- Sam, to jest niebezpieczne!

- Powoli to się zmienia. Kilka lat temu istniało zagrożenie, że słonie wyginą jako gatunek. Kość słoniowa to były wielkie pieniądze. Dzięki Tedowi i takim jak on słoni przybywa.

- Czy Pete zostanie po wyjeździe ojca?

- Oczywiście. Gdybyś się tu wychowała, czy chciałybyś wyjeżdżać?

Musiała przyznać, że w tym afrykańskim świecie jest jakaś magia i że ona sama jest już pod urokiem tego kontynentu. Ze smutkiem pomyślała, że nadejdzie moment, kiedy będzie musiała to miejsce opuścić. Szkoda... Oslaniając ręką oczy, spjrzała na odległy, lekko zamglony horyzont.

- Tu jest pięknie - rzekła półgłosem. - Piękniej, niż sobie wyobrażałam. - Zerknęła na Sama i zobaczyła, że przygląda się jej w sposób nieco deprymujący. Odetchnęła głęboko i demonstracyjnie zaczęła poprawiać ułożenie jednej z toreb. - Rozumiem, że będzie im ciężko wyjeżdżać. Czterdzieści lat to szmat czasu.

- Poczekaj, pomogę ci.

- Dziękuję, poradzę sobie. - Niemniej podszedł jej pomóc i, zmieniając położenie jednego z pudeł, przyciągnął ją do siebie.

- Oni są szczęśliwi - powiedziała, gdy dotknął jej policzka.

- Świata poza sobą nie widzą - szepnął i oczy mu pociemniały. Usłyszała jego ciche westchnienie, a potem podniósł jej głowę do góry i pocałował ją tak gorąco, że poczuła zawrót głowy. - Ciągle o tym marzę - szepnął po chwili, głaszcząc jej włosy. - Kate...

Mówiła sobie, że to szaleństwo, że powinna w jednej chwili z tym skończyć. Jej ciało buntowało się jednak przeciw tym postanowieniom. Położyła rękę na piersi Sama, jakby chcąc go odepchnąć, a potem zabrakło jej tchu, gdy znowu ją pocałował.

- Sam, nie... - szepnęła po chwili. Była oszołomiona, zachwycona, zmieszana, zagubiona. - Nie sądzisz, że powinniśmy wracać?

- Mamy dużo czasu. - Jego głos miał szorstkie brzmienie. - I nie wiem, czy w ogóle mam ochotę wracać.

- Sam, nie... - powtórzyła cicho, gdy ujrzała, że jego usta znowu zbliżają się do jej twarzy. Ten pocałunek pozbawił ich oboje tchu. - Sam, to szaleństwo - wykrztusiła.

- Czy wiesz, jak na mnie działasz? Kate, powiedz, że mnie chcesz.

- Sam, to nieuczciwe...

Poczuła, że jego ciepłe dłonie wsuwają się pod jej bluzkę i dotykają skóry. Stała nieruchomo, obawiając się, że Sam odgadnie, co się z nią dzieje, i postanowiła się odsunąć. On jednak przytrzymał ją mocniej.

- Nie walcz, Kate. Nie bój się. Przecież cię nie skrzywdzę. Wiem, pomyślała. Celowo na pewno tego nie zrobisz.

- Kate, chcę się z tobą kochać. Jesteś mi potrzebna.

Chcieć, potrzebować... Przecież jest olbrzymia różnica między tym, że się kogoś chce a kocha. Miłość wymaga zaangażowania, a jest to jedyna rzecz, jakiej Sam nie może jej dać.

- Proszę cię... - Ujrzała, jak jego twarz ściąga bolesny grymas i z przerażeniem pomyślała, że gdyby odważył się pocałować ją jeszcze raz, uległaby mu całkowicie. - Nie rób mi tego, Sam - powiedziała, odpychając go lekko.

- Czego?

- Tego, żebym cię chciała. Nie mogę wtedy myśleć.

- Więc nie myśl - poprosił i zaczęli się całować tak szaleńczo, że zapomniała, gdzie są. Najchętniej uległaby mu do końca, lecz w jej głowie nie zamierała jedna uparta myśl.

- Nie rozumiesz, że to wszystko jest sztuczne? - spytała w końcu z ustami przy jego ustach.

- Sztuczne? - Zaśmiał się urywanie. - Przecież nie ma nic prawdziwszego. Wiem, że ktoś cię zawiódł, ale życie toczy się dalej. Spróbuj ze mną.

Nie mogła mu zarzucić braku logiki, ale czy przypadkiem Sam nie namawia jej na największe ryzyko z możliwych? Czy nie namawia jej na związek, któremu nie odda się całym sercem?

- Kate, ja nie zrezygnuję.

- Wiem, i tego właśnie się boję. Przepraszam.

- To ja powinienem cię przeprosić - odparł. Po jego twarzy przemknął cień jakby żalu i nagle ją puścił. - Masz rację, powinniśmy wracać.

Drogę powrotną przebyli w milczeniu. Zupełnie jak nieznajomi, pomyślała Kate, wpatrując się w afrykańską przyrodę nie widzącym wzrokiem. To śmieszne, skonstatowała ze złością, że ciągle mam oczy pełne łez. Rozsądek podpowiadał jej, że lepiej uciąć to wszystko teraz, kiedy jeszcze nie cierpi. Niektórych ludzi po prostu najlepiej unikać, i przede wszystkim dotyczy to Sama. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego czuła się tak oszukana.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mimo wyczerpania spała tej nocy bardzo źle. Wydarzenia minionego dnia nie dawały jej spokoju. Bez przerwy spoglądała na zegarek i poprawiała poduszki, zaciskając przy tym powieki.

Była zła, że nie może zasnąć, ponieważ czekał ją następny wyczerpujący dzień. Zapadła w głęboki sen dopiero przed świtem i wydawało jej się, że już po kilku sekundach obudził ją dzwonek budzika i słońce świecące prosto w twarz. Z jękiem otworzyła jedno oko, znalazła szlafrok i powlokła się do łazienki.

Wzięła prysznic, wypila filiżankę mocnej kawy i wyszła z domu. Gdy spojrzała na niebo, stwierdziła, że w ciągu ostatnich dni pojedyncze smugi zbiły się w gęstsze chmury i z zaskoczeniem uprzytomniła sobie, że październik niepostrzeżenie przeszedł w listopad i że do świąt zostało tylko kilka tygodni!

Kiedy weszła na oddział, Jill obmywała tamponem dziecko.

- Witaj. - Na twarzy Jill malował się niepokój. - Może byś obejrzała tego małego? Przywieźli go godzinę temu i trochę się o niego martwię.

Kate spojrzała na niemowlę i poczuła dławienie w gardle. Oczy dziecka były zamknięte, miało wyraźną niedowagę, a z jego piersi wydobywał się suchy kaszel. Na czole, wokół uszu i na piersiach widoczna była lekka wysypka. Dziecko miało katar, z oczu płynęły łzy. Ono nie może mieć więcej niż dziewięć miesięcy! - oceniła Kate z przerażeniem.

- Nie wygląda najlepiej - powiedziała. - Jaką ma temperaturę?

- Trzydzieści osiem i dziewięć - odparła Jill. - Dlatego przemywam go chłodną wodą.

- Dobrze - pochwaliła ją Kate. - A kiedy i jak się to zaczęło? Rozmawiałaś z jego matką?

- Jego rodzice to Masajowie. Myśleli, że mały po prostu się przeziębił, ale potem nagle temperatura zaczęła gwałtownie rosnać i stan się pogorszył.

Kate wyjęła z kieszeni stetoskop i osłuchiwała niemowlę. Robiła to zawsze z pewną rezerwą, ponieważ badanie małych dzieci wywoływało w niej ból, który burzył jej zawodowy spokój. Już podczas studiów zastanawiała się, czy powinna w ogóle zostać lekarzem, ponieważ w przeciwieństwie do większości swych kolegów stwierdzała, że często brakuje jej dystansu, jaki w tym zawodzie wydaje się nieodzowny. To samo uczucie ogarnęło ją teraz, kiedy w małych płucach usłyszała niepokojące świsty.

- Ma biegunkę? - spytała.

- Obawiam się, że tak - odparła Jill.

- Nie chciałabym go męczyć - Kate była coraz bardziej zasepiona - ale muszę obejrzeć jego oczy i uszy.

Gdy sięgnęła po oftalmoskop, dziecko niespodziewanie drgnęło i zaczęło cicho pojękiwać. Kate zagryzła wargi i w tej samej chwili poczuła, że ktoś przy niej staje.

- Przyszedłem po kilka kart chorobowych - rzekł cicho Sam, spoglądając na niemowlę. - Jak sądzisz, to znowu odra?

- Jestem prawie pewna.

To zdumiewające, pomyślała, patrząc, jak Sam łagodnie dotyka policzka chłopczyka i jęk powoli ustaje. Czyżby odczuwał to samo co ona na widok cierpiących dzieci?

- A jak ty się czujesz? - spytał cicho.

- Dobrze. - I znowu te gorące policzki! - To pewnie tylko ten upał.

- No tak... - W jego oczach pojawił się cień uśmiechu, kiedy wyjął z jej drżącej dłoni oftalmoskop. - Chyba bardzo boli cię główka, co, malutki? Pokaż mi oczy, dobrze? - Poświecił w oczy dziecka i zmarszczył czoło. - No tak, zapalenie spojówek. Ośluchałaś go? - zwrócił się do Kate.

- Tak. Stan zapalny dróg oddechowych.

- Zaglądałaś do buzi?

- Właśnie miałam zamiar...

- To śliczne, te plamki Koplika. Popatrz, ile tu tego. - Delikatne otworzył usta dziecka i Kate ujrzała białe grudki. - U niedożywionych dzieci groźne jest w tym przypadku zgorzelinowe zapalenie jamy ustnej.

- Zaraz podamy mu penicylinę.

- Niewykluczone, że kaszel jest łatwiej wyleczyć prometazyną, a zapalenie spojówek antybiotykiem w formie kropli do oczu. Tutaj to skutkuje. - Spojrzał na zegarek i Kate ruszyła z nim w stronę drzwi. - Możliwe, że rodzina będzie chciała zostać przy małym.

- Dobrze, przygotujemy wszystko. - Popatrzyła na niego i poprawiła włosy. - Wiem, że to głupie, ale ciągle nie mogę przyzwyczaić się do myśli, że tutaj dzieci umierają na choroby, które u nas uważa się za zupełnie niegroźne.

- Pamiętaj, że tu dzieci nie mają naturalnej odporności, bo są niedożywione. Masajowie mają coraz mniej pastwisk. Odżywiają się głównie kukurydzą, fasolą i ziemniakami. Nazywają to jedzeniem Kujukusów, do którego nie są przyzwyczajeni.

Kate zwilżyła wargi.

- Nie miałam o tym pojęcia...

- Przecież nie można wiedzieć wszystkiego już po kilku tygodniach. Ja jestem tu znacznie dłużej niż ty, ale dalej wiele rzeczy mnie szokuje. Nie wstydz się, że czegoś nie wiesz.

- Jestem ci za wszystko wdzięczna - powiedziała ze łzami w oczach. - Sama nie zawsze sobie radzę...

Spojrzał na nią z namysłem, po czym ujął jej twarz w obie dłonie i zmusił do podniesienia głowy.

- Nie bój się uczuć, Kate - rzekł łagodnie. - Jesteśmy lekarzami, ale to nie oznacza, że zdziałamy cuda. To wszystko nigdy nie będzie łatwe.

- Dziękuję... - Na jej ustach pojawił się blady uśmiech. - Zawsze wiesz, co powiedzieć.

- Do usług - odparł i musnął wargami jej usta. Potem westchnął i zerknął na zegarek. - Muszę iść. A przy okazji: kto po południu ma dyżur w terenie?

- Ja.

- W takim razie do zobaczenia. - Uśmiechnął się i podniósł rękę w pożegnalnym geście. - Wezwij mnie, jeśli będę ci wcześniej potrzebny.

Tak jak teraz? Natychmiast odsunęła od siebie to pytanie i wytarła łzy. Kochała Sama, ale jak miała mu to wyznać, skoro on wcale nie ukrywa, że nie chce się z nikim wiązać? Gdyby zgodziła się z nim być, musiałaby przystać na jego warunki, a jeszcze nie była pewna, czy jej to odpowiada. Z pewnym trudem wróciła na oddział.

Rodzice chłopczyka stali przy jego łóżeczku. Matka, która miała na imię Mumai, cicho płakała. Kate uznała, że jest piękna. Barwne sznury koralików, którymi obwieszali się Masajowie, wspaniale kontrastowały z jej ciemną skórą. Mumai mogła mieć najwyżej osiemnaście lat.

- Toto.Jeijo.

- Co ona mówi? - zwróciła się Kate do Jill.

- Dziecko, jej dziecko. Jeijo znaczy „matka”. To jest jej pierwsze dziecko.

Mumai wypowiedziała kilka następnych słów. Jill zamrugwała szybko powiekami i odwróciła się, udając, że musi przetrzeć jakieś narzędzie.

- Mówi, że to dziecko zostało jej zesłane przez Boga.

- Powiedz jej, że postaramy się uratować - rzekła Kate. -A tymczasem niech przy nim czuwają. Zaraz przepiszę leki.

- Wypełniała kartę choroby. - Zajrzę do niego za jakiś czas, a teraz obejrzę pozostałych.

- Tam nic złego się nie dzieje - oznajmiła Jill z uśmiechem.

- Jest tylko coraz głośniejsze, a to znaczy, że większość trzeba wkrótce wysłać do domu.

- Skoro tak, to może uda mi się przyjąć pacjentów przed lunchem.

Pomyślała, że jej optymizm był przesadzony, gdy w drodze do przychodni zobaczyła kolejkę chorych.

- Dzień dobry, pani doktor - powitał ją z uśmiechem pomocnik Tomanke Waithaka. - Dziś chyba będzie padać.

Kate spojrzała na niego i zaśmiała się krótko.

- Bardzo bym chciała - odparła z westchnieniem - ale chyba nie masz racji.

- Dzień dobry, doktor Stewart. - Julie Lyongi, ubrana jak zwykle w nieskazitelnie biały strój, kończyła porządkować rzeczy na wózku z medykamentami.

- Wydaje mi się, że znowu będziemy miały mnóstwo pracy

- powiedziała Kate. - Daj mi kilka minut, a potem wezwij pierwszego pacjenta.

Weszła do gabinetu lekarskiego, gdzie dzięki okiennicom było nieco chłodniej.

Do lunchu istotnie pracowała bez wytchnienia. Jej ostatnim pacjentem był pięćdziesięcioletni Daniel Warungu, który od pięciu dni cierpiał na biegunkę. Kate zmierzyła mu ciśnienie, zauważając przy tym, że ma chłodną, mokrą skórę i zapadnięte oczy. Starając się nie zmieniać wyrazu twarzy, by nie przestraszyć mężczyzny, rzekła cicho do Julie:

- Ciśnienie ma bardzo niskie i jest mocno odwodniony. Czy wymiotuje?

- Tak. Mówi, że wszystko zaczęło się nagle.

- Czy coś go boli?

- Ma skurcze mięśni - przetłumaczyła Julie.

- To z powodu odwodnienia. - Mężczyzna położył się na kozetce i Kate delikatnie zbadła mu brzuch. - Chyba nie jest w stanie zapanować nad biegunką. Leci z niego jak z kranu?

Julie pokiwała głową.

- Niech on to dokładniej opisze.

Usłyszawszy prośbę Julie, pacjent otworzył oczy i uniósł naznaczoną żyłami rękę, po czym wypowiedział kilka słów.

- Mówi, że to jest jak woda, ale nie całkiem.

- Może woda „ryżowa”? - dociekała Kate. Gdy Julie uzyskała od pacjenta odpowiedź twierdzącą, Kate rzekła: - Jestem prawie pewna, że to cholera. Musimy wziąć wymaz.

- Zaraz to zrobię - rzekła Julie.

- Muszę być absolutnie pewna, że to nie jest zatrucie pokarmowe lub wirusowe zapalenie jelit, bo w obu tych przypadkach objawy są podobne. A jeśli to cholera, musimy zawiadomić odpowiednie władze.

Julie podała jej dużą strzykawkę.

- Masz rację - rzekła Kate. - Musimy natychmiast uzupełnić braki wodno-elektrolitowe. - Uśmiechnęła się łagodnie do pacjenta, gdy wbiła igłę w żyłę udową. - Oczywiście, przyjmujemy go do szpitala.

- Czy mamy mierzyć straty i uzupełnianie płynów?

, - Tak, proszę. Może potrwać kilka dni, zanim puls i ciśnienie wrócą do normy. Raz dziennie podamy mu też antybiotyk. Proszę mnie natychmiast zawiadomić, gdyby jego stan się w jakikolwiek sposób pogorszył.

Dopiero w południe Kate wróciła do swego pokoju, gdzie wypita szklankę orzeźwiającego soku pomarańczowego i wzięła prysznic. Dwadzieścia minut później, ubrana w białe spodnie i bawełnianą koszulkę w kolorze cytryny, wyszła na dwór.

Sam czekał w samochodzie.

- Gdzie właściwie jedziemy? - spytała, sadowiąc się obok niego.

Uśmiechnął się z rozbawieniem, gdy zobaczył jej zaczerwienione policzki.

- Do jednej z największych wiosek, na północ. Byłem tam pół roku temu i próbowałem namówić jej mieszkańców, żeby zgodzili się na szczepienie dzieci przeciwko odrze.

- I nie udało się?

Sam zmarszczył czoło, opędzając się od natrętej muchy.

- Oni mają wrodzone opory, są podejrzliwi. Mam nadzieję, że jeśli powiemy im o groźbie epidemii, wreszcie się zgodzą.

- A jeśli nie?

Przez chwilę milczał, skupiając uwagę na wyboistej drodze.

- Liczę na jedno - powiedział wreszcie. - Masajowie cenią swoje bydło, ale dzieci wręcz uwielbiają. Musimy ich przekonać, że zagrożenie jest naprawdę poważne, i dlatego jadę tam z tobą. Jeśli się zgodzą, będziemy kuli żelazo, póki gorące. Możemy nie mieć drugiej szansy. Jeśli się da, zaszczepimy nawet dorosłych.

- Popołudnie pełne pracy...

- Żałujesz, że przyjechałaś? - spytał z uśmiechem. Żałuję, że nie możesz mnie pokochać, pomyślała. Potem

uśmiechnęła się do niego i zaczęła oglądać krajobraz. Daleko nad horyzontem zawisły pociemniałe lekko chmury, lecz zdaniem Kate nie mogły one zapowiadać deszczu. Przyroda za to była tu wyjątkowo piękna.

- To są pola Kukujusów - wyjaśnił Sam.
 - Co uprawiają?
 - Głównie kawę i herbatę. Popatrz na ziemię. Jest niemal tak czerwona jak krew. A tam - pochylił się nieco w jej stronę - znowu widać fragment Wielkich Rowów Afrykańskich.

- Przepiękne! - szepnęła.
 - Widzisz tylko ułamek doliny. Wzgórza wokół niej osiągają wysokość tysiąca dwustu metrów, a jej dno jest upstrzone wulkanami. To jest Menengai - nadal trzymał kierownicę jedną ręką - a to Suswa. Nazwy tych gór są masajskie.

Urwał i cicho zaklął, po czym szybko zmienił bieg, żeby nie utknąć w głębokiej koleinie.

- Powinniśmy być w Enkang za jakieś piętnaście minut.

- Enkang?

- To masajska nazwa osady.

Samochód wjeżdżał coraz głębiej w dolinę, a Kate nie mogła nasycić oczu widokiem gazeli, antylop gnu i zebr. Boczna drogą objechali małe miasteczko Masajów, w którym odbywał się targ, po czym ponownie skierowali się w stronę wzgórz. Powitała ich polna, zakurzona droga, po której obu stronach pasło się bydło.

- Tak właśnie wyobrażałam sobie Afrykę - szepnęła Kate, gdy jakiś czas później Sam zatrzymał samochód.

Spojrzał na nią z uśmiechem i wyłączył silnik.

- Afryka to nie tylko nędza, choroby i śmierć - powiedział.

- Nie twierdzę, że nie istnieją, ale na tym kontynencie jest coś jakby... obietnica, nadzieja. Musisz sobie po prostu powtarzać, że pewnego dnia będzie lepiej.

- Ale to potrwa, Sam, i to długo.

- To prawda. Nie stanie się to za naszego życia. My możemy tylko wierzyć, że nasza praca pomoże następnemu pokoleniu.

Gdy wysiedli, podał jej jedno z zapieczętowanych pudeł.

- Pilnuj tego jak oka w głowie - nakazał. - To szczepionki. Ja wezmę witaminy, sok pomarańczowy i resztę rzeczy. Rozłożymy się w cieniu pod tymi drzewami. Aha. Nie bądź zdziwiona, kiedy ktoś splunie ci na głowę, ręce czy stopy. - Błysnął zębami w uśmiechu, widząc jej przerażoną minę. - Starsi Masajowie tak właśnie się pozdrawiają. Nie ściskają sobie ręki, ale dotykają się otwartą dłońią. A całują się tylko kobiety z kobietami, kobiety z dziećmi lub braćmi albo siostrami. Spojrzała na niego z ukosa.

- Dzięki za ostrzeżenie. To wszystko czy jest jeszcze jakiś drobiazg, o którym zapomniałeś?

- Jeśli coś mi się przypomni, to na pewno ci powiem.

- Stokrotne dzięki, Sam. Naprawdę.

- Uspokój się. Widzisz ten tłumek?

Z pomocą młodych Masajów rozłożyli stoliki i ustawili parawan w cieniu wielkich akacji nad strumieniem. Gdy Kate ustawiała na tacy lekarstwa i instrumenty, podeszła do nich dziewczyna. Miała około siedemnastu lat, była wysoka i bardzo szczupła, a jej ogoloną głowę zdobił tylko jeden sznur koralu. Ubrana była w kolorową kangę, szatę noszoną przez kobiety w całej Kenii, i - podobnie jak reszta Masajów - miała obwieszone sznurami koralików uszy i szyję.

- Kate, to Siwengi - odezwał się Sam. - Będzie tłumaczyć. Siwengi była w szkole i chce zostać lekarzem. Siwengi, poznaj doktor Stewart.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało i kiwnęła głową.

- Cieszę się - powiedziała Kate i podała dziewczynie fartuch. - Włóż to i zaczynamy.

Dziewczyna z dumną miną włożyła biały kitel.

Minutę później Kate badała już pierwszego pacjenta. Przez następne godziny, pozornie nieświadoma hałasu wokół, osłuchiwała klatki piersiowe, oglądała stopy i uszy, oczy i gardła, robiąc przerwę tylko po to, by wypić odrobinę butelkowanej wody.

Jednym z pacjentów był sześćdziesięcioletni starzec, wysoki i bardzo słaby. Ciężko usiadł na krzeselku, które mu podsunęto, i mimo tropikalnego upału drżał jak osika.

- Meijoki ma malarię - wyjaśniła Siwengi po krótkiej wymianie zdań z Masajem.

- Och! - zawołała Kate nieco przestraszona.

Sam spojrział na nią z uśmiechem i potrząsnął głową.

- Masajowie każdą gorączkę nazywają malarią - powiedział. - Musisz to sprawdzić.

- Dzięki za ostrzeżenie - odparła z posepną miną. Odgarnęła włosy z czoła i uważnie popatrzyła na starca. Jego skóra była pokryta kropelkami potu, oddech miał świszczący, kaszel suchy. Nie odrywał dłoni od piersi. Kate spokojnie wzięła stetoskop i przystąpiła do badania. Gdy osłuchiwała klatkę piersiową, dotknęła żeber.

- Spytaj, czy coś go boli - poleciła Siwengi.

- Tutaj - odparła dziewczyna, wskazując na boki starca. - Bardzo go boli, kiedy oddycha i kaszle.

- Nic dziwnego, - Kate opadła na krzesło i sięgnęła po termometr. - Od kiedy jest w takim stanie?

Starzec przez chwilę myślał, po czym wyciągnął w górę obie dłonie.

- Tydzień? - Kate spojrzała na termometr ze zmarszczonym czołem. - No tak, ma gorączkę. - Zaczęła przeglądać buteleczki ustawione na stoliku. - Wygląda na zapalenie opłucnej. Dam mu leki.

Przesypała odpowiednią porcję antybiotyku do mniejszej buteleczki i podała ją mężczyźnie.

- Ma brać po jednej tabletki trzy razy dziennie, aż do wyczerpania zapasu. A to... - do drugiej buteleczki wysypała porcję innych tabletek - są środki przeciwbólowe. Ma leżeć, dopóki nie spadnie gorączka i nie minie ból.

Patrząc, jak starzec odchodzi wspomagany przez Siwengi, Kate zerknęła w kierunku Sama. Właśnie szczepił piszczące niemowlę, które po chwili oddał matce.

- Dobrze się bawisz? - spytała, patrząc na następną nieufną dziecięcą twarz. - Nie mogą się doczekać, jak widzę.

- Uważaj - mruknął - bo zamienimy się miejscami.

- Nie ma mowy! - Zaśmiała się cicho. - To ty jesteś tutaj ten zły. I jak dobrze ci idzie!

- Jeszcze pożałujesz - odparł półgłosem.

Odwróciła się ze śmiechem w stronę swojej pacjentki. Kobieta miała około czterdziestu lat, była chuda i nie odpowiedziała jej uśmiechem. Siedziała z przymkniętymi powiekami i znużonym gestem odganiała od siebie muchy. Kate skłoniła ją do położenia się na macie za parawanem i poprosiła Siwengi o zadanie chorej podstawowych pytań. Kobieta odpowiadała słabym głosem.

- Nolmemeri boli brzuch. Od niedawna.

Kate przystąpiła do badania. Okazało się, że nawet najłżejsze dotknięcie brzucha powoduje ostry ból.

- Czy wymiotuje? Czy ma biegunkę?

- Trochę jednego i trochę drugiego - przetłumaczyła Siwengi.

- Macie jakieś problemy? - Sam skończył myć ręce i spojrzał z uśmiechem na kobietę.

- Tak... - rzekła Kate. - Bóle w dole brzucha. Myślałam, że to może wyrostek, ale reszta objawów nie pasuje.

- Chcesz, żebym ją zbadał?

- Tak. Nie chciałabym się pomylić. - Odsunęła się na bok, żeby zrobić mu miejsce. - Ma lekką biegunkę i wymioty.

- Och, to by wskazywało na wiele rzeczy.
- A poza tym jest wyraźnie za chuda i jakaś dziwnie ospała.
- Ma wysypkę? - Pochylił się niżej. - Popatrz, to ciekawe.
- Co? Nic nie widzę. Aha... - Wreszcie dostrzegła lekkie zaczerwienienie na stopach kobiety i ze zdumieniem spojrzała na Sama. - Ale dalej...
- Zapalenie skóry, jedna z postaci choroby tęgoryjcowej. Kaszle? - Kobieta wyszeptała kilka słów. - Tak, czasami z krwią - przetłumaczył. Kate przykucnęła.
- No więc co zrobimy? Pierwszy raz coś takiego widzę.
- Ja też rzadko to spotykam. To chyba przypadek ankilostomatozy.
- Ankiło...?
- Tęgoryjec dwunastnicy - wyjaśnił. - To takie małe paskudztwo, jedna z głównych przyczyn anemii w tych stronach. Larwy dostają się do organizmu przez skórę, stąd te zaczerwienienia na stopach. A potem wędrują przez cały organizm do płuc.
- Kate skrzywiła się z obrzydzeniem.
- Dobrą wiadomością jest to, że da się to leczyć, złą - że trudno zmienić nawyki sanitarne tych ludzi. Podamy jej jednorazową dawkę pirantelu. Wtedy przynajmniej będziemy mieli pewność, że wzięła lek. Wiesz, oni często dają tabletki bydłu albo po prostu wyrzucają. Daj jej też coś na anemię.
- Dziękuję. - Spojrzała na niego z wdzięcznością i zajęła się przygotowaniem leków.
- Drobiazg. - Zerknął na zegarek. - Już kończysz?
- Chyba tak.
- Dobrze. Ja też. Jesteś głodna?
- Nie pytaj! - Jęknęła i wyprostowała się, podczas gdy Siwengi odprowadzała Masajkę. - Staralam się o tym nie myśleć. Nie jadłam lunchu i umieram teraz z głodu.
- Nieładnie, pani doktor. - Pogroził jej palcem, po czym zajął się pakowaniem rzeczy. - Zrób, co masz zrobić, i chodźmy coś zjeść.
- Mówisz poważnie?
- Ja zawsze mówię poważnie.
- Ale gdzie? Chcesz zrobić piknik?
- Mam lepszy pomysł.
- Kate dojrzała dziwny błysk w jego oczach.
- Sam, co knujesz?
- Na pewno będziesz zadowolona. Chodź, obejrzyj wioskę, skoro już tu jesteś.

- A nie obrażą się? Czy to nie wścibstwo? Sam śmiał się głośno.
 - Masajowie są bardzo gościnni. Skończyli pakować rzeczy i ruszyli do wioski.

- To spora osada - wyjaśnił Sam. - Liczy dwanaście chałup.

- Czy oni zawsze tak budują? To znaczy: zagroda dla bydła w środku, a domy wokół?

- Aha - odparł i uśmiechnął się na widok młodej kobiety, która wyszła ich powitać. - To Kwosenga. Zaprasza nas do siebie na poczęstunek.

Kate patrzyła, jak grupa starszych Masajów ubranych w tradycyjne stroje zbiera się wokół małego ogniska wewnątrz chaty.

- Czy zawsze jest tu tyle ludzi? Przecież wszyscy nie mieszkają w tej osadzie!

- Masz rację - odparł. - Trafiliśmy na jakąś uroczystość.

- Co oni piją?

- Piwo z miodu. - Sam nie przestawał się śmiać. - Wygląda dosyć niewinnie, ale naprawdę potrafi zaszumieć w głowie.

- Sam, nie jestem pewna...

W tej chwili zbliżył się do nich jeden z Masajów.

- Doktor Sam, dobrze, że pan jest - powiedział z uśmiechem, pokazując białe, równe zęby, i wyciągnął rękę, dotykając dłoni Sama.

- Leseamon, miło cię widzieć. To jest doktor Stewart, która pracuje w naszym szpitalu. Kate, to Leseamon, znany też jako Adam. Jego ojciec należy do starszyszy.

Ojciec i syn wymienili kilka zdań.

- Co oni mówią? - spytała Kate.

- Ojciec wita nas w swoim enkan. Pyta mnie, jak się czuję, jak się czuje moja rodzina, moje krowy i kozy. Masajowie uważają, że nie wolno rozpoczynać rozmowy bez wymiany uprzejmości.

Wysoki Masaj wskazał im matę, Kwosenga zaś zajęła się ogniskiem, przycupnąwszy na małym pieńku.

- Co ona robi? - spytała Kate.

- Herbatę.

- Taką jak my w filiżance? Sam znowu się roześmiał.

- Herbata jest chyba najpopularniejszym napojem u Masajów.

Kate zafascynowana patrzyła, jak Kwosenga delikatnie dmucha w rozżarzone polana. Gdy buchnęły płomyki, postawiła na ogniu płaskie naczynie, przypominające dużą patelnię bez rączki.

- Herbata robiona na patelni!? - zawołała Kate.

- To taka ich ceremonia - wyjaśnił.

- Mam nadzieję, że będzie mi to smakować - szepnęła.

- Zaufaj mi - powiedział.

Kwosenga wlała do naczynia dzban wody i poczekała, aż się zagotuje. Wtedy wsypała garść liści i z tykwy dołała mleka.

- Oni czyszczą tykwy popiołem z ogniska - szeptał jej do ucha. - Dlatego wycujesz w herbacie posmak dymu.

- Z przyjemnością się o tym dowiaduję, Sam.

Kate objęła kolana ramionami, Kwosenga zaś odczekała, aż jej mieszanka znowu się zagotuje, po czym sypnęła do niej garść cukru.

- Masajowie bardzo lubią cukier. - Sam najwyraźniej był w swoim żywiole. - Na każdą filiżankę przypadają co najmniej cztery łyżeczki.

Kate stłumiła obrzydzenie. Mleko zaczęło się pienić i unosić, i w chwili, gdy osiągnęło punkt wrzenia, Kwosenga pochyliła się i z dużym wdziękiem ujęła naczynie gołymi rękami, zdjęła je z ognia i postawiła na ziemi. Kate zamrugała oczami.

- Jak ona to robi, że się nie parzy?

- Lata wprawy.

Kwosenga napełniła kubeczki herbatą i rozdała je zebrany. Kate ostrożnie pociągnęła łyk. Ku jej zdumieniu napój okazał się nadspodziewanie dobry.

- Wspaniale - rzekła z uznaniem do Kwosengi. Masajka uśmiechnęła się także, powiedziała coś w swoim

języku i wstała, patrząc na Kate. Sam skinął głową.

- Co ona mówi?

- Że miło jest witać nowego przyjaciela. Jej mąż Leseamon i jego przyjaciele szykują ci specjalny podarunek.

- Podarunek? Dla mnie? Ale dlaczego...

- Masajowie już tacy są. Chcą ci zrobić przyjemność. Zamienił kilka słów z Kwosengą, która odpowiedziała mu cichym śmiechem, po czym ruszył w stronę wyjścia.

- Poczekaj! - Kate w jednej chwili była na nogach. - Idę z tobą. Przecież jestem honorowym gościem.

Sam położył jej rękę na ramieniu.

- Kate, proszę, poczekaj tu z Kwosengą.

- Co?! - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Chyba nie mówisz tego poważnie? Nie mam zamiaru stracić takiej okazji.

- Kate, to chyba nie jest dobry pomysł...

- Wiesz, jaki ty jesteś? - rzuciła ze złością. - Egoistyczny. Jesteś samolubem i nie znosisz kobiet.

W jego oczach błysnął jakby żal, gdy patrzył na jej zaczerwienioną twarz.

- Robisz poważny błąd, Kate. Tylko mi potem nie mów, że cię nie ostrzegałem.

- Na pewno tak nie powiem! - rzuciła z oburzeniem i razem z nim wyszła na dwór.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł zrezygnowany.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Leseamon i jego szwagier Morani, który był jeszcze wyższy, siedzieli z grupą młodszych chłopców wokół małego ogniska.

Gdy Kate i Sam się do nich zbliżyli, Leseamon powitał ich szerokim uśmiechem i powiedział coś do jednego z chłopców, który miękkiem, kocim krokiem podbiegł w kierunku jednej z chat.

W tym samym czasie nadeszło kilka kobiet i dziewcząt, które nieustannie śmiały się i coś poszeptywały. Młodsze dziewczęta zerkały nieśmiało na Kate, pokazując palcem jej strój i chichocząc, ona zaś podziwiała ich piękne sznury koralu.

Młodsze kobiety przychodziły z dziećmi na rękach, a Kate instynktownie wyciągnęła ręce w stronę jednego z niemowląt i spytała, czy je może potrzymać. Kobieta podała jej dziecko, mówiąc coś w swoim języku, pozostałe zaś Masajki głośno się zaśmiały. Kate nie przejęła się tym, że zapewne sobie z niej żartują - aż w pewnej chwili podchwyciła rozbawione spojrzenie Sama.

- O czym one mówią? - spytała.

- Są zafascynowane kolorem twoich włosów i oczu. Mówią, że będziemy mieć dużo pięknych dzieci, i mają nadzieję, że będą do ciebie podobne.

Kate poczuła, że jej twarz purpurowieje, i szybko oddała niemowlę matce. Sam z trudem hamował śmiech.

- Mam nadzieję, że wyprowadziłeś je z błędu - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Dlaczego mam psuć im zabawę? - spytał rozbawiony. - Powiedziałem, że jesteś w ciąży od niedawna i nie chcesz się tym chwalić.

Kate zachłysnęła się powietrzem. Myśl, że mogłaby mieć dzieci z Samem, nappełniła ją taką dziwną tęsknotą, jakiej nie doświadczyła jeszcze nigdy. Odwróciła się gwałtownie, lecz mimo to usłyszała, że Sam się cicho śmieje.

Po chwili z ulgą ujrzała chłopca odesłanego przez Leseamona. Chłopiec prowadził kozłę uwiązane na krótkiej linie.

- Och, popatrz, czy to nie jest piękne? - Ze śmiechem dotknęła ramienia Sama. - To pewnie ich ulubieniec. Chcą mi go pokazać.

- Masajowie nie znają pojęcia zwierząt domowych, Kate. Zwierzęta spełniają tutaj wyłącznie funkcję wyznaczoną im przez naturę.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że spojrzała na niego uważniej, a uśmiech zamarł na jej ustach.

- O Boże, chyba nie chcesz powiedzieć...? Sam, to chyba nie jest ten prezent dla mnie.

- Obawiam się, że tak. - Zaciął usta i nagle objął ją mocno w pasie. - Kate, to nie jest tak, jak myślisz. Chyba powinnaś...

- Sam, popatrz! - przerwała mu i patrzyła zafascynowana, jak młody Masaj przykrył pysk i nozdrza koźlecia rękami. Koźle jakby się zachwiało, opadło na przednie nogi, i Kate zmartwiła. - Sam, ja tego nie rozumiem. Sam, co oni robią? Dlaczego...

- Kate, nie patrz. - Przytulił ją mocniej. - Patrz na mnie, kochanie.

Było już jednak za późno. Ostrze noża zabłysło w promieniach słońca i nagle strumień krwi trysnął na ziemię. Zwierzę wydało dziwny, bulgotliwy dźwięk i w ciągu kilku minut zostało obdarte ze skóry i poćwiartowane.

Kate czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Oni je zabili, Sam. Poderżnęli mu gardło. - Zwilżyła wargi, świadoma, że ramię Sama ochrania ją niczym tarczą. Czuła napięcie jego mięśni. - Sam, robi mi się niedobrze.

- Nic ci nie będzie - odparł spokojnie. - Już po wszystkim, Kate. Odetchnij głęboko i uśmiechnij się.

Ją zaś co chwilę chwytały mdłości. Z niemym przerażeniem patrzyła na to, co kilka minut temu było żywym zwierzęciem, a teraz stało się kawałami mięsa nadzianymi na patyki. Sam prosi ją, żeby się uśmiechnęła! Miała wrażenie, że się przesłyszała, niemniej - z pewnym wysiłkiem - zrobiła właśnie to, o co ją prosił.

- Jeszcze kilka minut - obiecał - a potem jakoś cię stąd wyciągnę.

Jego głos docierał do niej jakby poprzez mgłę; nie wiedziała, dlaczego nieustannie słyszy w nim nutkę rozbawienia. Potem zaśmiał się głośno i klepnął Kate po ramieniu.

- Idziemy, kochanie.

Kochanie! Czyżby to jakaś nowa gra wyobraźni? Człowiek, który przeżył szok, miewa czasem omamy. Wstrzymała oddech, gdy Sam ścisnął jej rękę i powoli odsuwał od roześmianej grupy. Nie wiedziała, kiedy znaleźli się w samochodzie. Osada pozostała w tyle za drzewami.

- Już dobrze, możesz odetchnąć - powiedział. Odchyliła się na oparcie fotela, z trudem chwytając powietrze i usiłując zwalczyć mdłości.

- Przepraszam - wyszeptała w końcu. - Chyba nie zachowałam się właściwie, ale to był dla mnie szok. Nie spodziewałam się...

- Kate, już po wszystkim. Zapomnij o tym - powiedział i musnął palcem jej policzek.

Zadrżała i spojrzała na niego z ukosa.

- To chyba nie będzie takie łatwe - odparła.
 - Wiem, że to był dla ciebie szok - przyznał spokojnie. - I dlatego nie chciałem, żebyś wychodziła z chaty.

- Co? A więc wiedziałeś, co się stanie?

- Raczej się domyślałem - mruknął pośpiesznie. - Musisz pamiętać, że kultura Masajów bardzo się różni od naszej. To, co widziałeś, było odpowiednikiem naszego wręczania kwiatów. Koźlę zostało poświęcone na twoją cześć.

- Biedne zwierzątko. Przecież to właściwie było dziecko. - Oczy weszły jej łzami. - Wołałabym dostać bukiet kwiatów.

Położył rękę na jej ramieniu, a kiedy próbowała się cofnąć, drugą ręką ujął jej brodę.

- Kate, nie uciekaj - szepnął. - Cały dzień chciałem cię pocałować.

Pogłaskał ją po policzku i poczuła, że nie ma siły dłużej z nim walczyć; z nim ani z niczym innym.

- Masz rację - przyznała. - Przesadziłam.

- Większość ludzi by się tak zachowała - szepnął.

Kate poczuła się cudownie oszołomiona. Ciekawa była, czy Sam o tym wie. Z lekkim zażenowaniem stwierdziła, że chyba tak, bo jego ręka zaczęła się powoli zsuwać z jej policzka w dół.

- Kate - szepnął. - Chcę się z tobą kochać. Teraz. Znieruchomiała, ujrzała niepokój w jego oczach i przeraziła

się, uświadamiając sobie, jak mało brakuje, by mu uległa. Patrzył na nią w milczeniu, jakby zdając sobie sprawę z jej rozterki.

- Obiecałem sobie, że więcej do tego nie dopuszczę - powiedział w końcu. - Ale wystarczy, żebyś tylko znalazła się blisko mnie, a...

Jej ciało przesunęło się bezwiednie ku niemu. Sam westchnął i zaczął ją całować. Poprzez bluzkę czuła ciepło jego skóry. Gdy zadrżała z pożądania, szepnął:

- Niech to się wreszcie stanie, Kate. Przecież chcesz.

Nie mogła zaprzeczyć. Pragnęła go każdą cząstką swego jestestwa. A jednak wbrew sobie wyszeptwała:

- To szaleństwo, Sam.

- Nie walcz z tym. - Jego głos stał się jakby bardziej szorstki. - Czy masz pojęcie, jak na mnie działasz?

- Chyba nie - szepnęła, dotykając palcami jego ust. - Kiedy jestem z tobą, nie potrafię logicznie myśleć.

- Ja nie mogę pozwolić ci odejść, rozumiesz?

W jego głosie zabrzmiała taka rozpacz, że Kate objęła go i przytuliła.

- Przecież widzisz, że cię chcę - powiedziała i poczuła jego gorące usta na swoich.

- Czy mam przestać? - spytał po chwili. - Nie jestem pewien, czy potrafię.

Jego dłonie z czułością gładziły jej ciało. Nie była w stanie powstrzymać wzbierających w niej uczuć.

- Po raz pierwszy w życiu tak się czuję - szepnęła, tuląc się do niego coraz mocniej.

- Ale mnie pragniesz?

- Tak.

A Sara? Co z tą Sarą? Kate stłumiła tę myśl w chwili, gdy się pojawiła.

- Zaufaj mi, Kate - usłyszała głos Sama.

O niczym innym nie marzyła. Jego ręce to ścisnęły jej ramiona, to wędrowały w stronę jej włosów.

- Pragnę cię, Sam... ale to nie znaczy, że chcę związku... - Głos jej się załamał, gdy uświadomiła sobie, że kłamie. - Zgadzam się na to, co możemy mieć teraz.

Jego twarz była pełna napięcia, gdy pytał:

- Wiesz, że cię nigdy nie skrzywdzę?

- Wiem. Kochaj się ze mną, Sam.

Zaczął ją całować tak zaborczo, że w końcu zabrakło jej powietrza i wyrwała się z jego objęć.

- Nie spieszmy się - powiedział niespodziewanie. - Kiedy będziemy się kochać, chcę, żeby to było naprawdę wspaniałe.

Więc poczekajmy. - Przytulił ją po raz ostatni tego wieczoru i delikatnie pocałował. - Wracajmy, Kate. Mamy przed sobą całe życie.

Dotarli do Ramindi godzinę później. Większość drogi przebyli w milczeniu. Kiedy Sam zgasił wreszcie silnik, ujął jej twarz i spojrzał w oczy.

- Nie wiem, jak mam udawać, że nic się nie stało.

- Znam to uczucie - odparła z uśmiechem.

- Chyba cię znowu pocałuje... Żeby nie zapomnieć, jak to się robi - oznajmił poważnie i delikatnie spełnił swą obietnicę. Po chwili oderwali się od siebie, Sam wysiadł z samochodu i spytał: - Muszę zrobić obchód. Poradzisz sobie?

Skinęła głową i sięgnęła po bagaże.

- Chyba wezmę bardzo zimny prysznic.

Gdy się odwróciła, poczuła na ramieniu jego rękę.

- Kate, nie żałujesz?

- Nie. - Odwróciła się twarzą do niego. - Nie żałuję.

W każdym razie nie teraz. Może później, kiedy to wszystko będzie musiało się skończyć. Po co zresztą o tym myśleć?

Gdy z bagażami odeszli kilka kroków od samochodu, zauważyła, że Sam się uśmiecha.

- Z czego się śmiejesz? - spytała zaczepnie, gotowa również wybuchnąć śmiechem.

- Właśnie przypomniałem sobie, jak wyglądałaś, kiedy przyprowadzili to koźle.

- To nie było śmieszne, Sam!

- Owszem - zgodził się - ale kiedy chciałem z tobą odejść, musiałem im podać jakiś powód. Byłaś w końcu honorowym gościem i powinnaś zostać dłużej.

- Właśnie! - Przystanęła. - Miałam cię zapytać, co im powiedziałeś.

- No cóż... - Jego usta zadrgały w tłumionym uśmiechu. - Ponieważ i tak sądzą, że jesteś moją kobietą, pomyślałem sobie, że to wykorzystam. Powiedziałem im, że trochę źle się czujesz... - Jego dłoń dotknęła jej brzucha.

- Sam, nie! - zawołała, gdy dotarł do niej sens jego słów. Nadal się śmiali, gdy wchodzili na ganek i Sam otwierał

drzwi. Kiedy Kate zajrzała do środka, poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

Przy biurku siedział Jeremy. Trzymał w dłoni filiżankę kawy, uśmiechał się i najwyraźniej czuł się jak u siebie w domu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stała jak wryta, podczas gdy Jeremy niespiesznie wstał i wyszedł zza biurka. Zlustrował krótkim spojrzaniem Sama, po czym rozłożył szeroko ramiona i zawołał:

- Kate, kochanie! - Przytulił ją, potem odsunął się i przeniósł dłonie na jej talię. - Długo cię nie widziałem, ale warto było czekać! - dodał i pocałował ją serdecznie.

- Jeremy, nie rozumiem... - wykrztusiła i Jeremy ją puścił. - Ty w Ramindi? Co tu robisz?

Na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz zawodu.

- Kochanie, przecież chciałem cię zobaczyć! Wykrzywił usta w chłopcym grymasie, który tak dobrze pamiętała. Zmieszana, nerwowo potarła ręką czoło i powiedziała sobie, że to chyba sen.

- Tak, ale... Jak? Dlaczego?

Jej zmieszanie najwyraźniej go bawiło, bo odparł wesołym głosem:

- Pracuję teraz w obozie dla uchodźców pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Pomyślała, że Jeremy wygląda tak jak zawsze: mimo upału jest wypoczęty i schludny. Wpatrywała się w niego, rozpaczliwie poszukując odpowiednich słów. To śmieszne, że w ciągu minionych miesięcy często wyobrażała sobie ten moment i wtedy wiedziała, jak się zachowa. Teraz jego przyjazd stanowił dla niej taki szok, że nie była w stanie wymówić słowa.

Niejasno uprzytomniła sobie wreszcie, że w progu stoi Sam i bacznie im się przygląda.

- Przepraszam... - szepnęła. - Nie przedstawiłam was sobie. To jest Sam Brady, a to Jeremy Carter.

Mężczyźni kiwnęli sobie głowami. Jeremy lekko zeszywniał, Sam stał z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kate wyczuła, że jest zły, choć gdy się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie:

- Co pana sprowadza do Ramindi? Jesteśmy trochę na uboczu i trudno jest nas odwiedzić bez szczególnego powodu.

- Ja mam powód. - Jeremy chwycił dłoń Kate. - Ja i Kate jesteśmy przyjaciółmi. Od dawna. - Uśmiechnął się do niej. - Chcieliśmy kiedyś razem przyjechać do Afryki. Wiedziałem, że ona tu jest, toteż kiedy okazało się, że jedna z naszych chorych wymaga hospitalizacji, skorzystałem z okazji. - Spojrzał na Sama, po czym przeniósł wzrok na Kate. - Dużo o tobie myślałem, kochanie. Mamy sobie tyle do powiedzenia, prawda?

Marzyła tylko o tym, żeby to spotkanie okazało się koszmarnym snem. O czym oni mają rozmawiać? Przecież już wszystko sobie powiedzieli. Jeremy podjął decyzję: wybrał Annę, a ona, Kate, życzyła im wszystkiego najlepszego. Może nie była wtedy zbyt szczerą, ale teraz, po upływie kilku miesięcy..., W Afryce odzyskała równowagę, poznała Sama...

- Jestem zaskoczona, Jeremy - rzekła opanowanym wreszcie głosem i zerknęła na zegarek. - Wybacz, ale muszę zrobić obchód. - Spojrzała na Sama i dodała z trudem: - Będę gotowa za pięć minut.

- Nie martw się, poradzę sobie. Doktor Carter wspomniał, że macie sobie wiele do powiedzenia.

Skinął im sztywno głową i wyszedł, zanim Kate zdołała zaprotestować. Zamknęła oczy, bezskutecznie usiłując choć przez chwilę przestać myśleć o Samie. Czuła się, jakby z obu stron osaczyli ją wrogowie, ona zaś nie miała gdzie uciec.

- Wreszcie sami! - rzekł Jeremy z szerokim uśmiechem. - Wiem, że jesteś trochę zaskoczona, a poza tym nie jest to idealne miejsce ani moment, ale później może porozmawiamy? Poważnie. - Pogładził jej rękę. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę.

- Jeremy, po co tu przyjechałeś? - spytała ostro. - Po co tutaj naprawdę przyjechałeś?

- Mówiłem przecież, że przywożem pacjentkę. Ma bóle w dole brzucha, spadek ciśnienia krwi, trudne do wyjaśnienia krwawienie. Wszelkie objawy ciąży pozamacicznej...

- Nie o to pytam i dobrze o tym wiesz. - Tym razem zdołała mu się oprzeć, gdy próbował ją do siebie przyciągnąć. - Dlaczego przyjechałeś do Afryki, i to teraz?

Puścił ją z wyraźną niechęcią.

- Wiem, że jesteś zła - powiedział z posępną miną. - Wiem, że to dla ciebie szok. Powinienem był cię ostrzec, ale wszystko potoczyło się tak szybko, że nie zdążyłem. Musimy porozmawiać, Kate. Teraz wiem, że zrobiłem błąd.

Potrząsnęła głową, czując, jak ogarnia ją panika.

- Jeremy, powiedzieliśmy sobie wszystko już dawno.

- Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz. - Dotknął delikatnie jej policzka. - Wiem, że oboje nie możemy siebie zapomnieć. Chyba daliśmy się wtedy ponieść emocjom.

Omam nie wybuchnęła głośnym śmiechem. To przecież ona dała się ponieść uczuciu! To jej świat rozleciał się na kawałki, podczas gdy w świecie Jeremy'ego dalej panował ład i spokój.

- Jeremy, to nie fair - oznajmiła. - Nie wiem, czego ode mnie chcesz. Dokonałeś wyboru i zostałeś z Anną.

- Pamiętam, co zrobiłem, pamiętam, co mówiłem, i wcale nie jestem z siebie dumny. Ale chyba nie wszystko zawsze jest proste, prawda, Kate? Może byliśmy wtedy trochę naiwni, ale ludzie się zmieniają. Sytuacje też.

Poczuła, że jej serce boleśnie się kurczy, jakby ktoś wciągał ją w próżnię.

- Jeremy, nie chcę. To przeszłość. Po co otwierać stare rany?

- Dobrze, że przyznajesz, że to rany. - Położył ręce na jej ramionach i zmusił do podniesienia głowy. - Zraniłem cię, przyznaję. - Nagle objął jej głowę i pocałował ją w usta. - Kate, muszę ci powiedzieć kilka rzeczy. Po to tu przyjechałem - dodał, jakby wyczuwając jej opór. - Jestem pewien, że wszystko się między nami ułoży, jeśli tylko mnie wysłuchasz. Czy nie jesteś mi choć tyle winna?

Niemal prychnęła z oburzenia, słysząc te słowa. Co za arogancja! Ona jemu ma być cokolwiek winna?

- Jeremy, przepraszam, ale naprawdę muszę iść do chorych.

- Kate... - szepnął i znowu poczuła delikatny dotyk jego ust. A potem, jakby wyczuwając, że jej opór słabnie, dodał: - Porozmawiajmy przez wzgląd na dawne czasy, jeśli na nic więcej się nie zgadzasz. Czy nie możemy spędzić razem trochę czasu, zanim wyjadę? Czy proszę o zbyt wiele?

Rzeczywiście, czy Jeremy prosi o zbyt wiele? To chyba dlatego, że jestem zmęczona, pomyślała, oddając mu pocałunek, lecz nie czując żadnego z tych uczuć, jakie Jeremy potrafił w niej dawniej wzbudzić. To koniec, uznała i zapragnęła wybuchnąć głośnym śmiechem. To koniec, cóż więc ma do stracenia?

- Nie wiem, Jeremy...

- Czy jest jakieś miejsce w tej zakazanej dziurze, gdzie moglibyśmy mieć trochę prywatności?

- Jest pokój wypoczynkowy dla personelu, ale...

- Idź na ten swój obchód; ja się czymś zajmę. - Znowu ją pocałował. - Będę na ciebie czekał.

Usiłowała zwalczyć w sobie poczucie niechęci i niesmaku. Chciała mu powiedzieć, że nie może tak po prostu znów wkroczyć w jej życie jak gdyby nigdy nic. On jednak był już w drzwiach i wychodził na dwór.

Prawdę powiedziawszy odetchnęła z ulgą, gdy zniknął. Zebrała się w sobie i poszła na oddział. Dobrze, że jest tu tak cicho. Dzięki Bogu, że ma się czym zająć.

- Przyjęliście kogoś nowego?

- Na razie nie, na szczęście - odparła Jill. Kate szybko przerzuciła notatki.

- Jak się czuje pan Warungu?

- Ciśnienie krwi trochę wzrosło.

- No cóż, przynajmniej tyle. - Kate zmarszczyła czoło. - Na wszelki wypadek zajrzę do niego, skoro i tak tu jestem.

Stała przy łóżku pacjenta i automatycznie ujęła jego dłoń, by zbadać puls.

- Trochę lepiej - oznajmiła z uśmiechem. - Jeszcze dwa dni i leki zaczną działać. - Spojrzała na Jill, gdy odchodziły od łóżka. - Nie zapomnij o płynach; to najważniejsze.

- Oczywiście.

Po chwili skończyły obchód i weszły do małego gabinetu. Kate najpierw wpisała szybko swoje uwagi, a potem zerknęła na zegarek.

- Nie widziałas gdzie Sama? - spytała.

- Owszem - odparła Jill posępnie. - Godzinę temu przeleciał tędy jak burza. Potrzebujesz go?

Kate pomyślała, że to bardzo łagodnie powiedziane. Poczwała, że zaczyna drżeć ze zmęczenia. Teraz pragnęła tylko tego, by czas się cofnął i by znów znalazła się w jego ramionach.

- Nie - pokręciła głową. - To nieważne.

Westchnęła głęboko, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jill spojrzała na nią z niepokojem.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Co? - Kate przetarła ręką oczy. - Och, tak. Mam tylko jakieś dreszcze.

- Niedawno przywieziono pacjentkę z ciążą pozamaciczną. Sam jest pewnie w sali operacyjnej. Mam mu coś przekazać?

Powiedz mu, że go kocham, rzekła Kate w myślach. A o czym on myśli? Jak ona może w krótkiej wiadomości przekazać mu, że Jeremy już się w jej życiu nie liczy? Z drugiej strony może lepiej będzie najpierw porozmawiać z Jeremym, zanim postara się cokolwiek wyjaśnić Samowi...

- Nie, dziękuję - powiedziała z bladym uśmiechem. - Później się z nim zobaczę. - Do oczu napłynęły jej łzy, które z całych sił usiłowała ukryć. - Jill, muszę się z kimś spotkać. Możesz tu zostać na chwilę?

- Oczywiście. - Jill zaczęła układać na półce opatrunki. - A jeśli zobaczę Sama, powiem mu, że go szukasz.

Kiedy weszła do pokoju wypoczynkowego, Jeremy siedział w fotelu i czytał jakiś stary magazyn. Na jej widok odłożył go na bok i szybko wstał. Po jego twarzy błąkał się chłopięcy uśmiech.

Kate nie zdjęła fartucha lekarskiego, jak gdyby pragnąc, by ten oficjalny strój podkreślił dystans między nimi. Jeremy zaś, nawet jeśli odgadł jej intencje, nie dał tego po sobie poznać. Bez wahania przytulił ją, ucałował w policzek, po czym odsunął na odległość ramienia i orzekł:

- Schudłaś.

- To przez ten upał. I pewnie jedzenie.

- Mimo wszystko wyglądasz dobrze - rzekł półgłosem. - Ale ty zawsze wyglądałaś dobrze, kochanie...

Odsunęła się od niego i spytała:

- Chcesz kawy?

- Skoro się upierasz...

- Nie upieram się, aleja koniecznie muszę coś wypić. - Zrobiłaby wszystko, żeby tylko zająć czymś ręce. Podając mu filiżankę, spytała: - Może wyjdziemy na werandę? Tam jest chłodniej.

Jeremy poszedł za nią, wyjął z jej ręki filiżankę, odstawił obie na bok, po czym znowu ją objął.

- Powiedz mi, co ty właściwie robisz w takim miejscu?

- To chyba oczywiste. Pracuję.

- Pracować można wszędzie - rzucił beztrzesko. - Nie musiałaś przyjeżdżać do takiej zapadłej dziury jak Ramindi.

- Być może nie zauważyłaś - odparła uszczypliwie - ale ta zapadła dziura potrzebuje lekarzy.

- Pewnie tak, ale mi się wydaje, że ty się tutaj marnujesz. Obrzuciła go długim spojrzeniem.

- Pamiętam, jak powiedziałaś kiedyś, że z moim charakterem nie dopdam się na szczyt w tak konkurencyjnym środowisku. Brakuje mi, jak to ujałeś... bezwzględności. Właśnie, powiedziałaś, że jestem zbyt miękka. Mam rację?

- Kochanie, przecież wiesz, że nie to miałem na myśli - odparł zmieszany.

Nie spuszczała z niego oczu i zastanawiała się, jak mogła kiedyś uważać go za atrakcyjnego. Owszem, jest przystojny, ale też cały czas jakiś taki obrażony. Zachowuje się jak dziecko, któremu zabrano zabawkę. Nie dostrzegła w nim wcześniej tej cechy. A w ogóle, co ona w nim takiego naprawdę dostrzegła? Dlaczego chciała wyjść za niego za męża? To nie Jeremy, lecz Sam obudził w niej całą gamę uczuć i nadał jej życiu nowy sens.

- Nie? - spytała. - To co wobec tego miałeś na myśli? Jak powinnam to była zrozumieć?

Nagle ze złością odwrócił się od niej i szybko podszedł do tacy, na której stały kieliszki i karafka.

- Niech szlag trafi kawę - mruknął. - Muszę się napić. - Uniósł karafkę i spojrzał na Kate pytająco, gdy zaś pokręciła przecząco głową, nalał sobie porządną porcję brandy. - Zawsze byłaś zbyt uczuciowa, Kate - obwieścił. - To twój problem.

- Co ty pleciesz? - zachnęła się. - Zawsze dbałam o pacjentów. Czy twoim zdaniem to źle?

- Nie... - Wpatrywał się przez chwilę w złocisty płyn w kieliszku, potem go odstawił i położył ręce na ramionach Kate.

- Jakoś nie mogę się z tobą dogadać, prawda?

- Jeremy, ja naprawdę nie wiem, po co tu przyjechałeś. To znaczy, dlaczego zacząłeś pracować dla tej agencji...

- Kochanie, czy zapomniałaś, że mieliśmy przyjechać do Afryki razem?

- Pamiętam, ale to było, zanim...

- Miałem mnóstwo czasu, żeby wszystko przemyśleć - przerwał jej łagodnym już tonem. - Kate, tęskniłem za tobą. Nie! - zawołał, gdy próbowała coś powiedzieć. - Wysłuchaj mnie. Teraz wiem, że popełniłem straszny błąd, gdy pozwoliłem ci odejść.

- Przepraszam... - Próbowała się odsunąć. - Nie rozumiem. Nie chcę...

- To proste, Kate. Byłem głupi, że pozwoliłem ci odejść.

- Jeremy, co ty mówisz?

- Przyznaję, że byłem głupi. To, co było między nami, było takie dobre...

- Zniszczyłeś to, co było między nami dobre. I czy przypadkiem o czymś nie zapominasz? Na przykład o Annie? Czy ona się tu nie liczy? Zdaje się, że ożeniłeś się z nią.

- Mylisz się.

- To nie ma sensu.

- Anna i ja nie wzięliśmy ślubu, Kate. Oboje wiedzieliśmy, że nie należy tego ciągnąć. - Na jego twarzy znów pojawił się chłopięcy uśmiech. - Tak naprawdę, kochałem cię.

- Nie chcę tego słuchać! Dokonałeś wyboru.

- Kochanie, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Przyznaję, że popełniłem błąd. Powinienem być zostać z tobą.

Ten uśmiech niegdyś napełniłby jej serce radością, dziś jednak czuła tylko zażenowanie.

- Jeremy...

- Proszę, daj sobie coś wytłumaczyć. Nie masz pojęcia, jak bardzo męczyłem się bez ciebie. I to przez tyle miesięcy!

Roześmiała się z niedowierzaniem. A czy on ma pojęcie, przez co przeszła ona? Czy w ogóle go to obchodzi?

- Porozmawiaj z Anną - zaproponowała. - Może wam się uda dojść do porozumienia.

- Nie mogę tego zrobić.

- Ależ oczywiście, że możesz! - Uśmiechała się, lecz była coraz bardziej zniecierpliwiona. - Jedna sprzeczka to jeszcze nie powód do rozpaczki. A czy nie miałaś przypadkiem dostać etatu w St. Maud's? Jeremy, przestań. Powiedz im, że przemyślałeś wszystko. I wycofaj wymówienie.

- Nie mogę - odparł lekko zaczerwieniony. - Już kogoś przyjęli.

- Och! - zawołała ze współczuciem. - Szkoda, bo miałaś wspaniałą szansę. Pozwól, że spytam z ciekawości, kto dostał tę pracę?

Mruknął coś niezrozumiałego.

- Jeremy, nie słyszę!

- Anna.

- Anna?! - Patrzyła na niego z otwartymi ustami, po czym wybuchnęła śmiechem. - Więc to tak! Twoja duma została zraniona. Przegrałeś z Anną. Jestem pewna, że zdołałeś zamienić jej życie w piekło, a kiedy cię przejrzała, podwinąłeś ogon pod siebie i wróciłeś do mnie. Jeremy, jesteś niesamowity! Czy o tym wiesz?

- Kate, nic nie rozumiesz... Spurpurowiał, gdy znów wybuchnęła śmiechem.

- Chyba jednak rozumiem. Po raz pierwszy w życiu wydarzenia nie potoczyły się tak, jak zaplanowałeś. Może wyda ci się to dziwne, aleja lubię Annę. Cenię ją też. Ona jest znakomitym lekarzem.

- Oczywiście... - przyznał i Kate odniosła wrażenie, że w powietrzu zawisły słowa: jak na kobietę. Jeremy sięgnął po kieliszek i wychylił jego zawartość. W jego głosie zabrzmiał ostry ton, gdy powiedział: - Zmieniłaś się, Kate. Jesteś twardsza.

- Musiałam dorosnąć. - Czowała, że jej gniew słabnie, a jego miejsce zajmuje współczucie. - A może ty też spróbujesz? Jesteś całkiem dobrym lekarzem, kiedy zbytnio nie myślisz o tym, co z tego będziesz miał.

- Ambicja to nic złego - odezwał się, spoglądając na pusty kieliszek.

- Przecież tego nie powiedziałam - zaprotestowała chłodno. - Chodzi mi o to, że nie można iść po trupach do celu i oczekiwać, że wszystko ujdzie na sucho.

Długo na nią patrzył, zanim spytał:

- A więc nie chcesz... żebyśmy jeszcze raz... spróbowali? Nie dasz nam szansy?

- Przykro mi, Jeremy.

Potrząsnęła głową, nagle zadowolona z tego, że w zapadającym mroku nie widać jej łez. Ona spotkała już swoją szansę i przynajmniej nauczyła się odróżniać prawdziwą miłość od fałszywej. Pomyślała, że może teraz Sam na nią czeka, i ucieszyła ją ta myśl.

- Masz kogoś? - spytał.

- Może... - Nie powinna tracić z nim więcej czasu. - Wracaj do Anny, Jeremy. Będzie dla ciebie dobra. Nam się nie uda.

- Myślę, że nie masz racji. - Odstawił kieliszek i przyciągnął ją do siebie. - Chyba mógłbym zmienić twoją decyzję. Sam mógłbym się zmienić. Po prostu powiedz „tak”. Kate, kochanie... - Gdy poczuł, że zeszywniała, dodał: - A czy nie możemy zostać przyjaciółmi? Czy proszę o zbyt wiele?

Niespodziewanie zaczął ją całować tak gorąco jak nigdy dotąd. Przez moment chciała z nim walczyć, lecz zrezygnowała. Nie żywiła już wobec niego takich uczuć jak kiedyś, pojęła jednak, że jak na ironię losu to on właśnie stanowi ostatnie ogniwo, jakiego jej brakowało, by poczuć się całkiem wolną.

Niech mnie na pożegnanie pocałuje, pomyślała i przewrotnie wyobraziła sobie, że to nie Jeremy ją całuje, lecz Sam. Jeremy jakby się zdziwił, zawahał, po czym szepnął:

- Wyjdź za mnie, Kate. Możemy zacząć wszystko od początku... - Urwał, patrząc gdzieś ponad jej głowę.

Odrzuciła się i w drzwiach zobaczyła Sama. Uśmiechał się ironicznie, choć jego oczy były chłodne. Usiłowała uwolnić się z ramion Jeremy'ego, przerażona myślą, że Sam może wyciągnąć błędne wnioski.

- Przepraszam - rzekł ironicznym tonem. - Chyba wszedłem w niewłaściwym momencie.

- Sam, to...

Utkwił spojrzenie w Jeremym.

- Chciałem tylko potwierdzić pańską diagnozę, Carter. Ta kobieta ma ciążę pozamaciczną. Zaraz będziemy ją operować. Jeśli pan uważa, że powinien pan zostać, to proszę bardzo. Jestem pewien, że doktor Stewart serdecznie się panem zajmie. A teraz proszę mi wybaczyć...

- Sam, poczekaj! - zawołała, lecz zniknął za drzwiami.

- Kate, kochanie...

Odrzuciła się błyskawicznie i spojrzała na niego ze złością.

- Jeremy, wracaj do domu. Wracaj do Anny. Po prostu wyjedź! Tu nic dla ciebie nie ma.

Wyglądał na zaskoczonego, lecz nie przejęła się tym i pobiegła za Samem. Dogoniła go w jego gabinecie.

- Musimy porozmawiać - powiedziała zdyszana. - To nie jest tak, jak myślisz.

Patrzył na nią posepnym wzrokiem.

- Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień, doktor Stewart. I na pewno pani nie wie, co myślę. Nigdy by pani nie odgadła.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Sam, kocham cię. Musisz w to uwierzyć. Nic sienie zmieniło. Zaśmiał się krótko.

- Masz rację, Kate. Nic się nie zmieniło i przynajmniej tym powinniśmy się cieszyć. W jasnym świetle dnia mogliśmy wszystkiego gorzko żałować. Dobrze, że nie odkryliśmy tego za późno.

Była coraz bardziej zrozpaczona. Co on ma na myśli? Czego mieliby żałować? Ona na pewno niczego by nie żałowała. A może Sam mówi o sobie?

- Sam - szepnęła. - Nie masz powodu być zły...

- Chyba go kiedyś kochałaś - oznajmił twardym głosem. - Prędzej czy później odkryjesz, że wolisz jego niż mnie.

- Sam, nie! - Zdesperowana chwyciła go za ramię. - Nie widzisz, że cię kocham?

Położył ręce na jej ramionach i odsunął ją od siebie.

- Nie mam siły, żeby jeszcze raz ryzykować. Pod koniec tygodnia z Nairobi odlatuje samolot. Chciałbym, żebyś znalazła się na jego pokładzie. Zegnaj, Kate. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie wiedziała, jak przetrwa te ostatnie dni w Ramindi. Rzuciła się w wir pracy, czując, że serce ma pełne bólu, a w głowie chaos. Pragnęła tylko jednego: żeby to wszystko jak najprędzej się skończyło.

Widowała Sama jedynie przelotnie, lecz czuła jeszcze większy ból niż wtedy, gdy nie spotykała go w ogóle. Kiedy się przypadkiem na siebie natknęli, zachowywał się uprzejmie i chłodno, a w jego oczach było tyle tajonej wzdargi, że nie miała odwagi próbować niczego mu wyjaśnić.

Niedługo wróci do Anglii... To straszne, dlaczego? Niczym dobrze zaprogramowany mechanizm wykonywała swe obowiązki i z ulgą witała nadejście zmroku. Wyczerpana kładła się spać, lecz sen nie nadchodził, co napełniało ją wręcz przerażeniem.

Któregoś dnia, gdy wychodziła o świcie z domu, dojrzała na horyzoncie ciemne chmury burzowe, powietrze jednak było takie samo jak każdego dnia: parne i gorące.

Nad ziemią unosiła się leciutka mgielka. Kate wiedziała, że za pół godziny zniknie mimo groźnego pomruku nadciągającej pozornie burzy, i upał da się im wszystkim tak samo we znaki jak zawsze.

Na dziedzińcu szpitala spotkała Grega, który majstrował coś, ukryty pod maską samochodu dostawczego. Pomagał mu jeden z chłopców. Na widok Kate Greg podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Kłopoty? - spytała.

Wytarł ręce w tłustą ścierkę.

- Chyba nic poważnego. Wczoraj nie podobała mi się praca silnika i musimy to sprawdzić. Zepsuty samochód to ostatnia rzecz, jakiej nam tu brakuje.

- Potrzebujesz go dzisiaj?

- Chyba tak. Mamy doniesienia o jakiejś podejrzanym epidemii w Mкуру; to około trzydzieści kilometrów stąd. Może alarm jest fałszywy, ale Sam jedzie sprawdzić. - Zatrzasnął maskę i spojrzał na zegarek. - Muszę mu powiedzieć, że gotowe. Chciał wyjechać jak najwcześniej.

- To nie odra, prawda?

- Chyba nie - odparł z namysłem. - W tym rejonie przeprowadziliśmy pełen program szczepień, ale w Afryce trzeba być przygotowanym na wszystko.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Powinam już iść. Tyle jeszcze trzeba zrobić... Urwała, a Greg spojrzał na nią niespokojnie.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Skinęła głową, po czym zamrużyła gwałtownie powiekami, czując napływające do oczu łzy.

- Tak... - Odetchnęła głęboko. - Po prostu zaczynam sobie uświadamiać, jak bardzo będzie mi tego brakować.

- Słyszałem, że wyjeżdżasz. Szkoda. - Potarł czoło, zostawiając na nim smugę smaru. - Wszyscy żałujemy, że wyjeżdżasz, jeśli to cię pocieszy. Sam jest głupi. Nie wiem, co się stało, ale może w końcu mu przejdzie?

- Nie sądzę. - Uśmiechnęła się cierpko. - Ale może to dobrze? W końcu przyjeżdżałam tu ze świadomością, że mój kontrakt jest krótki. - Włożyła ręce do kieszeni i wraz z Gregiem ruszyli w stronę gabinetu Sama. - Im szybciej zacznę szukać czegoś stałego, tym lepiej.

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Może otworzę prywatną praktykę?

Ta myśl najwyraźniej zdenerwowała ją jeszcze bardziej, a widok ponurej twarzy Sama nie poprawił jej humoru.

- Powiedz mi o samochodzie, ja pójdę się umyć - oznajmił Greg i zniknął. Przez radio w gabinecie Sama usłyszała zniekształcony głos:

- Pogoda się pogarsza, Sam. Ulewa może się zacząć w każdej chwili. Może lepiej zostać.

- Nie martw się - odparł Sam, nie przerywając pakowania.

- Chyba mamy do czynienia z cholera. Musimy zacząć leczenie jak najszybciej. Ile macie dotąd przypadków?

- Sześć.

- Będę u was - spojrzął na zegarek - za dwie godziny.

- Uważaj na siebie, Sam. Pogoda może się pogorszyć w ciągu kilku minut, a wszędzie podobno pełno kłusowników. Są naprawdę groźni.

- Nic mi nie będzie. Już jadę. Wyłączam się.

Wstał i chyba dopiero w tej chwili uświadomił sobie jej obecność.

- Chyba słyszałaś? Muszę jechać do jednego z obozów.

- Powiedziałeś, że to może być cholera. Chciałabym pomóc, bo to bardzo groźne.

- Steve Baxter nie jest histerykiem i to może być groźne. Sprawdź, czy samochód jest gotowy i czy w środku jest strzelba.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Wszystko sprawdzone, widziałam się z Gregiem. Sam...

- Poczuła suchość w ustach, mimo to jednak dodała: - Potrzebujesz kogoś do pomocy. Jeśli to epidemia, nie poradzisz sobie. :

- A widzisz jakieś wyjście?

Spojrzała na niego. Przemawiał do niej tak chłodnym tonem,] że w niczym nie przypominał człowieka, który jeszcze tak niedawno tulił ją do siebie. Niespodziewanie dla siebie samej poddała się.

- Chyba nie.

- Więc nie zabieraj mi czasu. Tam może ktoś umiera. Odstąpiła krok do tyłu, czując, jak narasta w niej rozpacz.

- Co robi Jill? - spytał, pakując dalej lekarstwa.

- Ma kilku ciężko chorych.

- A niech to!

- Sam, na litość boską, powiedz mi, czego potrzebujesz. Chcę ci pomóc. Chyba potrafisz, prawda?

Wreszcie na nią spojrzał.

- Nie wątpię, ale nie jest to pora na dyskusje. - Sięgnął po dużą torbę. - Mam tu zapas biseptolu. Na wszelki wypadek dołóż trochę tetracykliny.

Automatycznie sięgnęła po opakowania antybiotyku i starannie ułożyła je w torbie.

- Proszę, Sam - szepnęła - pozwól mi jechać.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? Otworzyła usta, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

- Dlaczego nie? - wykrztusiła w końcu. - Chciałeś wziąć Jill.

- Owszem, ale to nie to samo. Właściwie różnica jest olbrzymia. Odwrócił się od niej plecami i wyszedł. Kate poczuła, że jest zdruzgotana.

Była roztrzęsiona również wtedy, gdy przyjmowała pacjentów. Kolejka tego dnia była wyjątkowo długa i Kate skończyła pracę dopiero po południu. Julie Lyongi zabrała się do sprzątnia.

- Zrobię to sama - rzekła do Kate. - Może pani pójdzie do siebie wziąć prysznic i odpocząć?

- Chyba obie zasłużyłyśmy na odpoczynek - odparła Kate, usiłując nie myśleć o narastającym bólu głowy. - Ciekawe, jak Sam sobie radzi.

- Na pewno dobrze.

- A jeśli to naprawdę cholera?

- Mieliśmy już z tym do czynienia.

- A jeśli natknie się na kłusowników?

- To mało prawdopodobne - odparła Julie z namysłem. - Sądzę, że trzymają się z dala od dróg, bo wiedzą, że ich zauważono.

Kate zebrała karty chorobowe.

- Wezmę to do gabinetu Sama, żeby uporządkować, a przy okazji sprawdzę, czy nie nadeszły jakieś wiadomości.

Była na schodkach bungalowu, gdy dobiegły ją trzaski radia. Pospiesznie wbiegła do środka, rzuciła karty na biurko i z biciem serca pospieszyła do odbiornika.

- Halo, Ramindi? Słyszycie mnie? Odezwij się, Sam.

Z przestachem uświadomiła sobie, że ten zniekształcony przez zakłócenia głos nie jest głosem Sama. Drżącą dłonią nacisnęła przełącznik.

- Tak, to Ramindi. Słyszę pana.

- Dzięki Bogu! Tu Joe Peterson. Muszę porozmawiać z Samem. Czy mogę go prosić?

- Sam wyjechał do innego wezwania. Nie wiem, kiedy wróci.

- Cholera! Muszę szybko go odszukać!

- Niedługo powinien się do nas zgłosić. Próbował pan wywołać inne stacje? Sam pojechał do Mkuru.

- Do Mkuru? Tam podobno grasują kłusownicy. Kate bezwiednie zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Wiem. Mieliśmy wiadomość od Steve'a Baxtera. Próbował pan złapać Sama przez jego radio?

- Są straszne zakłócenia. Pogoda się psuje. Może jego radio nie łapie?

- Sam już dawno powinien zadzwonić... Zapadła chwila ciszy.

- Sam wie, co robi - powiedział w końcu Joe. - Skontaktuje się z wami.

Jeśli to w ogóle będzie możliwe, myślała Kate z rosnącym niepokojem. Z letargu wyrwał ją głos z radia.

- Ramindi, słyszysz mnie jeszcze?

- Tak - odparła i otrząsnęła się.

- Mam tu rannego. Czy jest może Greg?

- Tak, w sali operacyjnej. Skończy najwcześniej za dwie godziny.

- Niech to! Nie mogę tyle czekać.

- Może mi pan powiedzieć, co mu jest? Jestem lekarzem i mogę pomóc.

- Jeden z moich pracowników spadł z konia i uderzył się w głowę. Nie wygląda to dobrze. Stracił dużo krwi. Przywiózłbym go do was, ale...

- Nie, nie ruszajcie go, jeśli nie trzeba. Czy stracił przytomność?

- Tak. - Joe jakby się wahał. - I chyba nadal jej nie odzyskał...

- Ale oddycha?

- Oczywiście, tylko tak trochę dziwnie.

- Co to znaczy?

- Tak jakoś wolno i świszcząco. Czy to niedobrze?

Kate starała się mówić spokojnie, by nie denerwować Joego.

- To trudno powiedzieć. Może mieć wstrząśnienie mózgu. Nie mogę postawić diagnozy, jeśli go nie widzę.

- A może mu pani pomóc?

- Tak.

- No dobra. Więc co mam zrobić?

Spojrzała na zegarek. Nie miała pojęcia, kiedy Sam wróci, a urazy głowy są zawsze niebezpieczne. Wstrząs mózgu jest najmniej groźny.

- Zaraz do was przyjadę.

- To chyba nie jest dobry pomysł. Za chwilę wybuchnie burza. Już pada...

- Nie mamy wyboru. Jakoś do was dojadę, tylko nie wiem kiedy. Jak mam jechać?

Zakłócenia atmosferyczne znowu zniekształciły jego głos, lecz Kate zrozumiała.

- Na zachód. Wyślę pani kogoś na spotkanie.

- Dobrze. A tymczasem, jeśli ten człowiek odzyska przytomność, niech się nie rusza i nic nie je. Ma po prostu leżeć i czekać.

Joe Peterson wyłączył się, Kate zaś pobiegła do Julie.

- Czy nie powinna pani poczekać na Sama? - spytała dziewczyna z niepokojem. - On zna te drogi i wie, gdzie Joe mieszka.

- Sam może wrócić dopiero za kilka godzin i nie mogę ryzykować. Tamten człowiek jest nieprzytomny. - Sięgnęła po środki opatrunkowe i spojrzała przez okno na pociemniałe niebo. Miejmy nadzieję, że wrócę przed burzą. - Zaśmiała się krótko.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedyś będę marzyć o tym, żeby ty nie zaczęło padać.

Julie z nieszczęśliwą miną podała jej środki przeciwbólowe.

- Będę próbowała skontaktować się z Samem - powiedziała.

- Nie będzie zadowolony.

Na pewno, pomyślała Kate, sięgając po torbę zawierającą zestaw pierwszej pomocy. Ale życie tego człowieka jest ważniejsze niż animozje między nią a Samem.

- Wrócę jak najszybciej - rzuciła już w drzwiach. - A jeśli złapiesz Sama, to mu powiedz, gdzie jadę. Będę się z tobą kontaktować przez radio.

- Mogą być trudności ze złapaniem Sama. - Julie zmarszczyła czoło. - Mieliśmy już takie kłopoty. Sam musi zostawić samochód i wtedy oblepią go dzieciaki.

- Jeśli dzieciaki, to pół biedy. - Spojrzały sobie w oczy. - Ta banda kłusowników nadal tu jest. Widziałam, co potrafią. Co będzie, jeśli Sam natknie się na nich? - Nie czekała na odpowiedź, której nie chciała usłyszeć.

- Zadzwoń do ciebie od Petersona.

Ruszyła samochodem terenowym z prędkością, która może wydawać się dostojna na brytyjskich drogach, tu jednak sprawiała wrażenie zawrotnej. Kate była dobrym kierowcą, lecz pojazd prowadził się ciężko i z całych sił musiała trzymać kierownicę, by nie wypaść z drogi.

Co chwila odgarniała włosy z czoła, czując, jak jej ciało zlewa się potem. Sięgnęła ręką do tyłu i odciągnęła bluzkę przyklejoną do skóry, lecz mimo odgłosów nadciągającej burzy wiatr był tak gorący, że zabieg ten nie przyniósł jej żadnej ulgi.

W oddali zauważyła stadko antylop, pasące się pod drzewami. Patrzyła na nie ze smutną świadomością, że mogą stać się łatwą ofiarą czyhającego nieopodal leoparda lub innego głodnego drapieżnika, który czeka na zapadnięcie zmroku, by rozpocząć łowy.

W pewnej chwili samochód gwałtownie podskoczył. Z całej siły nacisnęła hamulec i zatrzymała się, po czym oparła głowę na rękach i czekała, aż uspokoi się jej serce.

I wtedy bezmiar spalonego słońcem pustkowia uderzył w nią z taką siłą, że zaczęła dygotać. Poczula się słaba i bezbronna i zatęskniła do obecności Sama.

Usłyszała niespodziewanie pierwsze, wielkie krople deszczu, bębniące o przednią szybę. Z radosnym śmiechem wyciągnęła rękę przez otwarte okno i upajała się chłodną wilgocią. Potem przyłożyła mokrą dłoń do przymkniętych powiek i twarzy. Przynajmniej zdążyła zobaczyć początek pory deszczowej.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą pikapa. Kierowca machał jej dłonią na powitanie i domyśliła się, że to człowiek Petersona.

Farma była duża i gwarna. Minęli stajnie i inne zabudowania, mały pawilon biurowy i duży, drewniany bungalow, przy którym ktoś próbował założyć ogród. Na ganku ukazał się człowiek w średnim wieku. Kate odgadła, że to pewnie Joe.

- Szybko pani dojechała. - Nie tracił czasu na wstępy. Kate weszła za nim do środka. - Udało się nam wnieść go tutaj.

Mężczyzna leżący na łóżku miał około trzydziestu lat i nadal był nieprzytomny. Zerknęła na farmera, po czym szybko przystąpiła do pracy.

- Czy coś się zmieniło od czasu naszej rozmowy? - spytała, przemywając ranę środkiem antyseptycznym.

Joe Peterson pogładził swą szpakowatą brodę.

- Odzyskał przytomność na kilka sekund. To wszystko. Kate odetchnęła z ulgą.

- Czy coś powiedział? Kogoś poznał?

- Tak. Powiedział: „Cześć, szefie, paskudna sprawa”, i znowu zasnął.

- To dobry znak.

- A więc dojdzie do siebie?

Wzdrygnęła się, kiedy błyskawica rozdarła niebo. Deszcz bębnił o drewniany dach. Tak silnej i gwałtownej burzy jeszcze nie widziała i gdzieś w głębi jej serca zatlił się niepokój.

- Mogę tylko powiedzieć, że nie ma niebezpieczeństwa. Problem polega na tym, że z ranami głowy nigdy nic nie wiadomo, zwłaszcza jeśli się nie ma aparatury do dokładniejszych badań. Ale myślę, że najgorsze minęło.

Puls był słabo wyczuwalny, lecz równomierny. Obejrzała dokładnie ranę.

- Nie jest taka głęboka, jak się obawiałam, ale trzeba szyć. Przedtem jednak obejrzę jego szyję i oczy.

Delikatnie odwróciła głowę mężczyzny na jeden bok, a potem drugi, po czym wyjęła oftalmoskop i zbadała oczy.

- No cóż - odezwała się w końcu. - Ma na pewno poważne wstrząśnienie mózgu, ale nie widzę trwałych uszkodzeń. Może mieć pęknięcie czaszki grubości włosa, nic gorszego jednak nie znalazłam.

- A więc w porządku?

- W takich sytuacjach zawsze lepiej jest przewieźć pacjenta do szpitala, ale przy tej pogodzie podróż przyniesie mu więcej szkody niż pożytku. Zostawię wam środki przeciwbólowe. Gdy odzyska przytomność, będzie miał straszny ból głowy. Znowu może wymiotować, czuć zawroty głowy, narzekać na podwójne widzenie. Nie wolno mu się ruszać z łóżka.

- Dopilnuję tego, pani doktor.

Uśmiechnęła się, chowając przybory do lekarskiej torby.

- Na imię mam Kate - powiedziała.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Kate.

- Napiszę notatkę i dam ją Samowi. Jeśli stan tego człowieka się pogorszy, wieście go od razu do Ramindi.

- Podam ci coś do picia - rzekł, gdy wyszli z sypialni. Nie czekając na odpowiedź, podszedł do lodówki i napełnił dwie szklanki piwem. Wypiła swą porcję ze smakiem, rozkoszując się miłym chłodem napoju. Potem wstała od stołu.

- Muszę wracać - oświadczyła i podała mu pudełko z tabletkami. - Kiedy się obudzi, daj mu jedną. I nie martw się; wszystko powinno być dobrze. W razie czego kontaktuj się z nami.

Joe wyszedł z nią na ganek.

- Uważaj na siebie - powiedział na pożegnanie. - Trzymaj się daleko od łożyska rzeki. W taką ulewę jej poziom gwałtownie się podnosi.

Kate wrzuciła torbę na tył samochodu i odjechała, machając przez okno ręką.

Podróż była trudna już przedtem, teraz jednak można ją było nazwać wręcz koszmarem. Błyskawice co chwila przecinały niebo, pozostawiając po sobie nieziemską poświatę.

Kate z całej siły trzymała kierownicę, usiłując nie wypaść z drogi, po obu stronach której w błyskawicznym tempie utworzyło się grzęzawisko. Ulewny deszcz przesłaniał jej widok. Co chwila stawała, nieustraszenie jednak ruszała dalej. Szkoda, że nie ma tu Sama...

I jak gdyby sam diabeł maczał w tym palce, w tej samej chwili rozległy się trzaski w radiu i Kate miała ochotę roześmiać się ze szczęścia, gdy po kilku sekundach rozpoznała głos Sama.

- Kate, słyszysz mnie?

Drżącą ręką sięgnęła po słuchawkę.

- Sam? Słyszę cię. Gdzie jesteś?

- To nieważne. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

W jego głosie było tyle złości, że zamarła ze zdumienia.

- Nie rozumiem. Czy Julie ci nie powiedziała? Wracam z farmy Petersona.

- Wiem, że Joe wzywał lekarza. Rozmawiałem z Ramindi pół godziny temu i od tej pory próbuję cię złapać. Chciałbym wiedzieć, po jakie licha tam pojechałaś? Czy ty w ogóle masz pojęcie, co ryzykujesz? Wiedziałaś, że zbliża się burza.

- Nie miałam czasu na takie myślenie! - zawołała ze złością. - Greg był w sali operacyjnej, a ciebie nie mogliśmy znaleźć. Ktoś musiał jechać.

- I to właśnie ty, tak?

- Nie było nikogo innego. - Odniosła wrażenie, że Sam cicho klnie. - A poza tym chcę ci przypomnieć, że jestem lekarzem.

Powiedział coś, co do niej nie dotarło, ponieważ odniosła wrażenie, że za ścianą deszczu spadającą na przednią szybę coś się porusza.

- Halo, jesteś tam?!

- Co? Ach, tak.

Coraz mocniej trzymała kierownicę, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności i nie dać się zepchnąć z drogi.

- A pacjent? - usłyszała.

- Ma tylko paskudną ranę głowy i wstrząs mózgu, ale chyba nic poważniejszego.

- Chyba zrobiłaś wszystko, co mogłaś. - Czyżby w jego głosie brzmiał sarkazm? - Gdzie teraz jesteś?

Dobre pytanie.

- Nie wiem - odparła. - W drodze do Ramindi. Coraz mniej widzę.

Zamrugnęła gwałtownie powiekami i po raz pierwszy poczuła prawdziwy dreszcz przerażenia. Tuż przed samochodem zważyło się drzewo, które natychmiast porwał z sobą silny prąd.

- O Boże...

- Co powiedziałaś? Niech szlag trafi te trzaski!

- Sam?

- Słyszę cię, ale mów wyraźniej.

- Rzeka... Jest bliżej, niż myślałam. To już powódź. Prąd niesie drzewa.

Wszędzie.

- Czy widzisz drogę?

- Nie.

- Musiałaś gdzieś zjechać. Czy możesz zawrócić?

- Nie. - Na chwilę głos uwiązł jej w gardle. - Sam, jest prawie ciemno.

To, co uważałam za drogę, było pewnie częścią łóżyska rzeki...

- O mój Boże...

Nagle samochodem mocno szarpnęło. Z całej siły nacisnęła na hamulec. Koła zabuksowały i samochód stanął. Zgasiła silnik i siedziała nieruchomo, czując, że robi jej się niedobrze i słysząc, że coś ze zgrzytem ociera się o drzwi. Sam usłyszał jej jęk przerażenia.

- Kate! - zawołał. - Na litość boską, nie trać odwagi. Nie teraz!

Uświadomiła sobie, że mówił do niej cały czas, lecz go nie słyszała.

- Powiedz mi, co się dzieje? Co widzisz?

- Nic - odparła bezbarwnym głosem, wpatrując się z przerażeniem w rwącą wodę. Krzyknęła, gdy nieopodal zważyło się kolejne drzewo i natychmiast porwał je wir.

- Kate, uciekaj stamtąd. Woda płynie od strony wzgórz. Jesteś wprost na jej drodze.

- Nie mogę, Sam. Nie mogę się ruszyć.

- Możesz! Włącz silnik i jedź powoli. Żadnych gwałtownych ruchów.

Zaraz do ciebie dotrę.

Zapaliła silnik i postawiła nogę na pedale gazu. Kilkakrotnie poruszyła kierownicą, koła zabuksowały, i to było wszystko. Samochód stał w miejscu.

- Sam, nie narażaj się. Nic nie możesz zrobić.

- Już do ciebie jadę.

Jego głos brzmiał kojąco i spokojnie.

- Ale gdzie jesteś?

- Jadę w twoją stronę. Rzeka jest tuż, tuż.

Ponownie nacisnęła pedał gazu. Samochód skoczył do przodu i znowu stanął.

- Sam, poziom wody się podnosi.

- Wiem. Próbuj dalej, kochanie. Na litość boską, próbuj!

Ż jej piersi wydobył się szloch. Sam znowu tak ciepło się do niej zwraca? Czyżby wszystko przemyślał? Nie, na pewno chce ją tylko uspokoić.

Jeszcze raz podjęła próbę uruchomienia samochodu, równie nieskuteczną. Prąd wody był coraz silniejszy. Może wysiąść? Z trudem otworzyła drzwi i wydała okrzyk przerażenia, gdy uświadomiła sobie, dokoła sięga woda.

- Sam! - zawołała. - Muszę wysiąść.

Znowu krzyknęła, gdy samochód się zakołysał i stanął przechyłony.

- Trzymaj się, Kate! - Głos Sama był pełen napięcia. - Dojadę do ciebie za kilka minut.

- Sam, to szaleństwo. Nie jedź tu! I tak mi nie pomożesz. Uświadomiła sobie, że w jej głosie brzmi histeria,

- Przepraszam, Kate, ale już za późno. Nie mogę zawrócić. Wytrzymaj jeszcze chwilę, kochanie.

Była tak przerażona, że nie docierało do niej, że ten koszmar jest prawdą. Jej reakcje były już tylko instynktowne. Z rozpaczą chwyciła kierownicę, nacisnęła na gaz i samochód lekko się przesunął. Kiedy jej stopy zalała woda, nie miała siły nawet krzyknąć. Samochód zakołysał się, a wraz z nim cały świat.

Pojęła, że tonie.

Gdzieś z oddali dotarł do niej głos Sama, niespokojnie wołającego jej imię. Usłyszała nieprzyjemny zgrzyt, poczuła uderzenie w głowę i przykryła ją woda.

Ktoś przemywał delikatnie jej twarz. Ten dotyk był tak przyjemny, że z radości cicho jęknęła.

- Kate, otwórz oczy. Powiedz, gdzie cię boli. Powiedz coś! Słuchała tego głosu ze złością, bo gwałtownie wdarł się w jej świadomość i zakłócił błogi spokój.

- Kate, już wszystko dobrze. Otwórz oczy, kochanie. Powieki jednak miała ciężkie jak z ołowiu, w głowie zaś taki szum, jakby budziła się z narkotycznego snu. Kiedy wreszcie z wysiłkiem je otworzyła, natychmiast zamknęła, oślepiąca światłem. Leżała nieruchomo przez kilka sekund, usiłując pozbierać rozbiegane myśli. Uniosła rękę, by dotknąć obolałego miejsca na głowie, i natknęła się na kompres oraz inną dłoń.

- Sam? - Odzyskała nagle pamięć i zaczęła dygotać ze strachu. - Powódź... Musimy uciekać.

- Kate, już uciekliśmy. Jesteś bezpieczna. Rozplakała się i znalazła w jego ramionach.

- Sam, tak się bałam. Myślałam, że umrę...

Czy to sen? Sam delikatnie ucałował jej włosy, musnął kilkakrotnie ustami jej twarz, po czym niemal z rozpaczą pocałował ją w usta. Nigdy dotąd nie czuła w jego pocałunkach tyle pasji. W końcu oderwał się od niej i po raz pierwszy spojrzała na jego twarz. Była poszarzała ze zmęczenia.

- Co się właściwie stało, Sam?

- Usłyszałem twój krzyk i potem radio zamilkło. Myślałem, że zwariuję ze strachu.

- Ale jak mnie znalazłeś?

- Twój samochód był mocno przechylony na bok, ale jakimś cudem paliły się jeszcze światła. Udało mi się wyciągnąć cię zza kierownicy.

- Tak się bałam, Sam. Myślałam, że cię stracę.

- Już się nie bój - powiedział tak łagodnym głosem, że przestała czuć ból.

- Jesteś cała i zdrowa i to jest najważniejsze. Nie wiem, jak bym to zniósł... Miałaś szczęście - jego głos stwardniał - bo gdy pomyślę, jak to się mogło skończyć...

- Nie, Sam - zaprotestowała.

- Dobrze. - Przesunął ręką po jej policzku. - Teraz musisz odpocząć. Dałem ci zastrzyk, który pomoże ci zasnąć.

- Sam...

- Teraz śpij.

- Musimy porozmawiać...

- Później. - Nie przestawał gładzić jej policzka. - Mamy mnóstwo czasu, kochanie.

Naprawdę? - pomyślała i poczuła, że powieki same jej się zamykają.

Był dzień, gdy się obudziła. Nadal czuła ból głowy, a poza tym zaczęła odkrywać siniaki w najdziwniejszych miejscach. Co chwilę zapadała w stan letargu, z niechęcią uświadamiając sobie, że nic się w gruncie rzeczy nie zmieniło.

Czuła się zmęczona i oszołomiona i tym tłumaczyła fakt, że nie mogła niczemu nadać sensu. Podczas ich ostatniej rozmowy odniosła wrażenie, że Sam powie, że ją kocha, i poprosi, by została. Tak się jednak nie stało.

Powinna wstać i się spakować, bo za kilka godzin startuje ten przeklęty samolot. Z jękiem podniosła się i powlokła do łazienki, gdzie z przerażeniem obejrzała twarz. Wzięła prysznic, z trudem włożyła sukienkę

bez rękawów i nawet nie próbowała związywać włosów. Umalowała lekko wargi, by nadać twarzy choć odrobinę życia, i wtedy ktoś zapukał do drzwi.

- Cześć - powiedziała Jill. - Przyszłam zobaczyć, jak się czujesz. Ale to chyba widać... Wiesz, że miałaś dzikie szczęście? A czy w ogóle wolno ci wstawać?

Kate zaśmiała się krótko.

- Nie wiem, co jest gorsze. Kiedy już stoję, wolę stać. A jak Sam?

- Dobrze.

- Nic mu się nie stało, kiedy mnie ratował?

- Nie - odparła Jill z łagodnym uśmiechem.

- A co z tą epidemią? Czy to...

- Tak, niestety. To była cholera, ale na szczęście zaczęliśmy działać szybko. Sam zarządził przewiezienie najbardziej chorych do Ramindi i dlatego... - zerknęła na zegarek - muszę lecieć. Aha, Sam kazał ci się niczym nie martwić. Masz leżeć i nic nie robić.

- Chętnie bym poleżała, ale muszę skończyć pakowanie. - Sięgnęła po stos bielizny i rzuciła go na łóżko. - Powinam to była zrobić wcześniej, ale nie przewidziałam...

Jill patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Ale... przecież nie masz zamiaru wyjeżdżać? To znaczy.. . No, jeśli nawet się pokłóciliście, to teraz już jest inaczej, prawda?

- Chciałabym tak myśleć, ale Sam nie poprosił mnie, żebym została.

- Oj, przestań. Daj mu trochę czasu.

- Niestety, tego mi właśnie brakuje. - Uśmiechnęła się z goryczą. - Może oboje powinniśmy pewne rzeczy przemyśleć. Nie wiedziałam, że poznam tu Sama. Ja mam za sobą niemiłe doświadczenia, ale on też.

Jill patrzyła na nią z namysłem.

- Zakochałaś się w nim, prawda?

- Właśnie. I to będzie mnie bolało przez całe życie.

- O Boże, Kate, czy nie możesz nic zrobić? Chcesz tak po prostu wyjechać? Świat nie jest pełen takich ludzi jak Sam. Uwierz mi, już ja coś na ten temat wiem.

- Sam nie chce się wiązać... - Kate wytarła oczy. - Nie martw się, Jill. Trochę się nad sobą rozczuliłam. Jakoś sobie z tym poradzę. Świat jest duży i jest w nim pełno pracy.

Ale nie ma drugiego Sama, pomyślała w duchu.

- Będzie mi ciebie brakowało - szepnęła Jill i wyszła. Człowiekowi nigdy nie jest łatwo, gdy kończy się pewien etap jego życia.

Ból głowy zaatakował ją ze zdwojoną siłą. Pogrzebała w torebce i wyjęła buteleczkę z aspiryną. Zazwyczaj dwie tabletki jej pomagały, dziś jednak nie odczuła żadnej reakcji. Jej ból mógłby ukoić tylko Sam; kochała go tak rozpaczliwie jak nikogo dotąd. Kiedyś myślała, że on również ją kocha, ale okazuje się, że sama miłość nie wystarcza. Potrzebne jest jeszcze zaufanie.

Opróżniła szuflady i starannie ułożyła rzeczy w walizce. Znalezienie nowej pracy nie będzie trudne. Ojciec często wspominał, że przekaze jej praktykę. Boże, miałyby tam wrócić i zaczynać w miejscu, w którym jej świat rozsypał się na kawałki? Trudno, czasami życie układa się w łańcuch nieszczęść; najpierw Jeremy, teraz Sam...

Nie, nie, dosyć. Czas najwyższy wyjechać - lecz w jakieś zupełnie inne miejsce, gdzie nic nie będzie budziło starych wspomnień.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Sam.

- Co ty wyprawiasz? - spytał przez zęby.

Wrzuciła do walizki ostatnie drobiazgi, które stały na szafce nocnej.

- Jak sądzisz, Sam?

- Pakujesz się?

Rozejrzała się wokół i w kącie pokoju dostrzegła jeszcze parę butów.

- Jest trochę późno, ale zaraz będę gotowa.

Chciała odwrócić się do niego plecami, gdy poczuła na ramionach jego ręce.

- Dlaczego wyjeżdżasz? - spytał. - Przecież wydawało mi się... Kate, co się stało?

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Nic się nie stało. - Wytrzymała jego spojrzenie, zdumiona tym, co w nim wyczytała. - Samolot dostawczy będzie tu za godzinę. Przepraszam, Sam, ale muszę skończyć...

- Kate, proszę, przestań!

- Nie rozumiem.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Przygryzła wargi, żeby ukryć ich drżenie, i spojrzała na jego zmęczoną, poszarzałą twarz.

- Co powiedziałaś, Sam?

- Kate, zostań.

- Ale mówiłeś...

- Wiem, co mówiłem, i wiem, że się myliłem. Proszę cię, Kate: zostań. Wczoraj zrozumiałem, że nie chcę cię stracić.

- Och, Sam... - Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła. - Ja też się bałam, że cię stracę.

- Mogłaś utonąć - rzekł przytłumionym głosem. - Kiedy cię znalazłem, pomyślałem...

- Przestań!

Dotknęła jego ust dłonią i poczuła na niej delikatny pocałunek. Nie wiedziała, jak to się stało, że nagle przytłumili do siebie całym ciałem i na krótką, cudowną chwilę zapomnieli o całym świecie. Upajała się jego ciepłem, zapachem, głosem, który szeptał jej imię.

- Kate, ja cię kocham - powiedział w końcu.

- Ja też cię kocham - szepnęła, po czym zamknęła oczy i dodała: - Ale musimy porozmawiać. Są rzeczy, o których powinieneś wiedzieć.

- Kate, nie.

- Tak, Sam. Nie chcę, żeby kiedykolwiek były między nami jakieś niedomówienia. - Powstrzymała go, gdy próbował przyciągnąć ją do siebie.

- Wydawało mi się, że kocham Jeremy'ego, ale to było dawno. Poza tym się myliłam.

- Wiem.

- Ale nie mogę porównywać moich uczuć do niego z tym, co czuję do ciebie. To, co widziałeś... - Urwała i oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia. - Wiedziałeś? A mówiłeś...

- Przepraszam, ale kiedy cię z nim zobaczyłem, coś się ze mną stało. Pomyślałem, że spotka mnie kolejne rozczarowanie. A potem zobaczyłem rozpacz w twoich oczach i znenawidziłem siebie.

- Sam, naprawdę mogłeś mi zaufać...

- Ufałem ci i ufam. Dopiero później zrozumiałem, że winię cię za to, co zrobiła Sara.

- Sam, dopiero dzięki tobie zrozumiałam, co to jest prawdziwa miłość. W Jeremym byłam... zakochana i uważałam, że to będzie trwać wiecznie. Dlatego byłam zdruzgotana, kiedy odszedł. Teraz wiem, że zranił nie tyle mnie, ile moją dumę. Ale ty... Wiesz, kiedy jechałam tam, w tym deszczu, chciałam tylko ciebie.

- Mogłaś się zabić... Kate, przepraszam. Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie nie wybaczył. Jaki ja byłem głupi! Nie zasługuję na ciebie.

Roześmiała się.

- Oboje byliśmy głupi, Sam. Być może zasługujemy na siebie.

- Czy to znaczy, że chcesz zaryzykować? - spytał z uśmiechem.

- Kocham cię, Sam.

W odpowiedzi pocałował ją mocno.

- To znaczy - rzekł po chwili - że będę musiał dopilnować, żeby na przyjęciu ślubnym nie podano żadnej potrawy z kozłęcia.

- Sam - odparła ze śmiechem - dopóki jesteśmy razem, cała reszta nie jest tak ważna.

RS

RS